WTOREK
Nr 59 13 VII 1982 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

PLENUM RADY NACZELNEJ ZHP

W Związku Harcerstwa Polskiego działa ponad 100 tys. instruktorów. Jak na potrzeby 2-milionowej organizacji jest to liczba zbyt mała, tym bardziej że nie wszyscy instruktorzy dobrze wypełniają swoje obowiązki. O tym, w jaki sposób odbudować szeregi wychowawców harcerzy, jak poprawić jakość ich pracy, dyskutowano 26 czerwca br. na plenum Rady Naczelnej ZHP w Warszawie.

Dyskusja na plenum potwierdziła wielkie znaczenie, jakie dla funkcjonowania związku ma kadra instruktorska. Podkreślano zwłaszcza potrzebę poprawy jakości kształcenia instruktorów. Kursy instruktorskie nie mogą polegać tylko na przekazywaniu wiedzy teoretycznej, ale także na zdobywaniu praktycznych umiejętności prowadzenia pracy z młodzieżą. Ambicją każdego wychowawcy powinno być wzbogacanie swojej wiedzy. Jednym z bodźców do samokształcenia mogą być stopnie instruktorskie, których regulamin w czasie obrad zatwierdzono.

Rada Naczelna zatwierdziła zasady nadawania honorowego tytułu „Instruktor – senior ZHP" oraz zadecydowała o utworzeniu funduszu stypendialnego Związku. Określono też zadania poszczególnych ogniw Związku w sprawie rozwoju kręgów instruktorskich.

Na plenum podjęto także sprawę działania Rady Porozumienia Kręgów Instruktorów Harcerskich im. A. Małkowskiego. Po burzliwej dyskusji, nieznaczną większością głosów, plenum podjęło uchwałę, w której postanawia rozwiązać Radę Porozumienia z uwagi na podjęcie przez ten organ szeregu decyzji niezgodnych ze statutem ZHP. Uchylono wszystkie decyzje Rady Porozumienia, które są niezgodne ze statutem. Rada Naczelna ZHP – stwierdza się w uchwale – kolejny raz potwierdza, że działalność ruchów programowo-metodycznych jest szansą rozwoju organizacji. W ZHP jest miejsce dla wszystkich kręgów im. A. Małkowskiego przestrzegających statut ZHP. Po zaistnieniu dogodnych warunków, władze ZHP stworzą możliwość odbycia zbiórki pełnomocników kręgów i przeprowadzenia wyborów nowej Rady Porozumienia. (PAP)

„MUSZTARDA PO OBIEDZIE", CZYLI LALKI NA MUNDIAL ...POZOSTAŁY W KRAJU

KRAKÓW (PAP). Spółdzielnia im. Stanisława Wyspiańskiego w Krakowie, znany w kraju producent lalek, przygotowała specjalną kolekcję: maskotki-piłkarzy z różnych państw biorących udział w mistrzostwach świata.

Niestety, tylko znikomą część laleczek (2400) wyeksportowano do Hiszpanii, a w Polsce sprzedano ich około 8 tysięcy. Szkoda, bo pewno by się kibicom spodobały... **(kl)**

Na zdjęciu: **pani Krystyna Migos – projektantka lalek i jej kolekcja**

TRZY KOLEJNE ZABYTKOWE MOTOCYKLE PO ODNOWIE – JUŻ W MUZEUM TECHNIKI

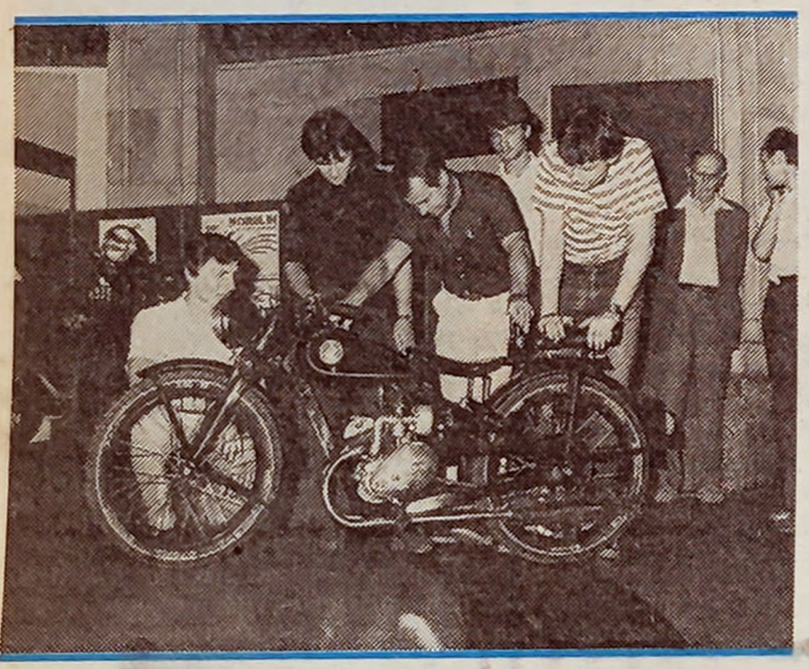

DAJEMY GWARANCJĘ NA STO LAT!

– mówią uczniowie Zespołu Szkół Samochodowych nr 1 w Warszawie.

(O sukcesach chłopców z samochodówki przeczytajcie na str. 5)

Szaleństwa dozwolone...

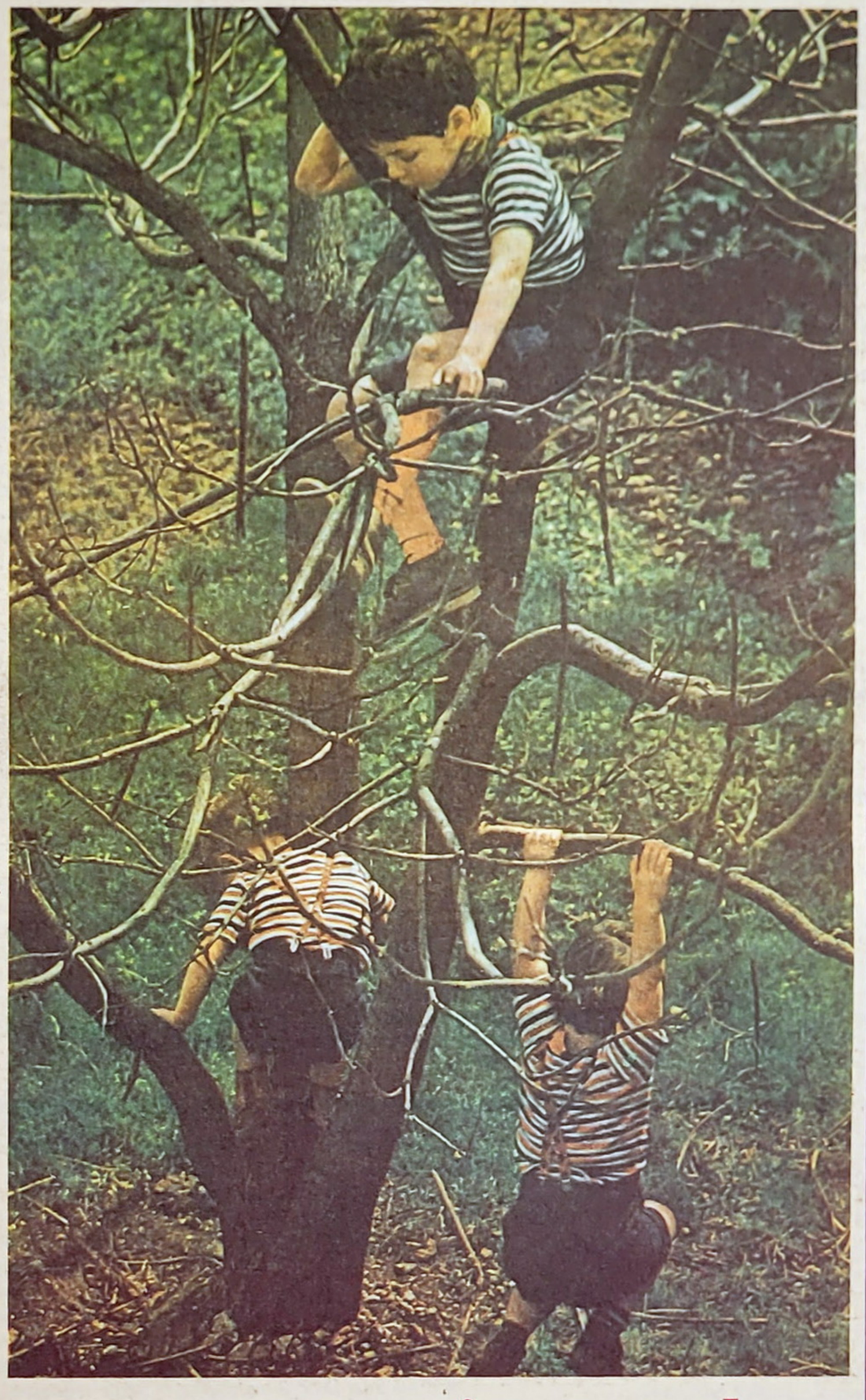

...ale szanuj przyrodę i własne kości

HARCERSKI ŚWIAT

CZYLI COŚ WIĘCEJ NIŻ ORGANIZACJA

ROZMOWA Z HM PAWŁEM WIECZORKIEM, AUTOREM KSIĄŻKI PT. „ZIELONE STRASZYDŁO" – OPOWIEŚCI PRZY OGNISKU

„Świat Młodych": – *Twoje harcerskie przygody zaowocowały książką, ale książka nie powstaje z niczego. W jaki sposób zacząłeś nad nią pracować?*

Paweł Wieczorek: – Zaczęło się od gawęd przy ogniskach. Mam taką swoją teorię o gawędzie, że nawet jeśli opowieść dotyczy zamierzchłych czasów, musi być związana z wydarzeniami dnia dzisiejszego. Na przykład opowiadając o Zawiszy Czarnym nie sposób pominąć drobnego na pozór incydentu, jakim jest stłuczone kolano Jasia Kowalskiego. Właśnie takie podejście do gawędy prowadzi do poszukiwania przygód leżących w zasięgu ręki. Uważam, że nie sztuką jest opowiadać o wspaniałych przeżyciach kogoś, kto włóczył się po całym świecie i żył przeszło sto lat temu, bo wiarygodności tych opowieści dzisiejszy młody czytelnik nie jest w stanie sprawdzić. Można mu, jak to się mówi, „wcisnąć każdą ciemnotę". Codzienne wspólnie przeżywane przygody są bardziej wiarygodne. Moja książka zaadresowana jest przede wszystkim do zupełnie przeciętnego młodego Polaka który zrozumiał już, że nie będzie Indianinem, piratem i że ma niezbyt duże szanse na to, by zostać lotnikiem, ale chciałby przeżyć przygodę...

CIĄG DALSZY NA STR. 5

DWUNASTU APOSTOŁÓW Z JURGOWA

Około 7 km na wschód od Bukowiny Tatrzańskiej, w Dolinie Białki, tuż za wsią Jurgów stoi samotnie przy drodze, niestety uschnięty już od paru lat świerk o niezwykłym kształcie. Górale nazywają go świerkiem „Dwunastu Apostołów". Niezwykła też i bardzo ciekawa jest jego historia.

Jak głosi legenda, przed 300 laty w okolicy tej rósł piękny i dorodny las świerkowy. Postanowiono go wyciąć i drewno przeznaczyć na budulec. Kiedy jeden z górali przymierzał się do ścięcia owego świerku, nadeszła burza i piorun zabił drwala. Pracujący przy wyrębie lasu górale uznali to za wtrącanie się sił nadprzyrodzonych. Postanowili nie ścinać drzewa, a na pamiątkę tego wydarzenia zawiesili na świerku kapliczkę. Pozostałe drzewa wycięto. Od tej pory górale otaczali czcią to miejsce i drzewo, a przechodząc obok oddawali cześć Bogu. Mijały lata, samotny świerk rósł spokojnie. Znalazł się jednak człowiek, któremu nie podobał się ów świerk i wyrażany mu szacunek. Namówił jednego z górali, by ściął drzewo w zamian za wysoką nagrodę. Góral przyjął umowę i nocą przystąpił do jej wykonania. Obawiając się jednak skutków swego czynu – kary bożej, ściął tylko koronę drzewa, a dość wysoki pień wraz z umieszczoną nań kapliczką pozostawił. Zgodnie z legendą drzewo w tym czasie liczyło około 150 lat. Nikt zatem nie przypuszczał, że odrośnie. Po latach wyrosło z pnia 12 pionowych pędów, które po rozrośnięciu się nadały drzewu niezwykły kształt.

„Panu Bogu smutno było na tym pustym pniu, toteż powołał do siebie 12 apostołów, którzy przybrali postać świerków" – głosi legenda.

Świerk ten był przedmiotem kultu okolicznej ludności i mógłby zostać przepięknym pomnikiem przyrody. (Górale szacują, iż liczy on sobie około 400 lat). Nie zostanie nim jednak. W latach 70-tych bowiem na drodze, przy której rosło to cudo położono asfalt. Nie zostawiono drzewu nawet centymetra ziemi przy pniu. Drzewo uschło. Stoi jednak nadal. Czyżby dopiero teraz dostrzeżono jego piękno? A może czeka się na cud, który ożywi ten dziw przyrody?

Jeżeli wybieracie się w Tatry, koniecznie odwiedźcie Jurgów i „Dwunastu Apostołów". Być może już za rok po świerku tym nie pozostanie żaden ślad.

WANDA SZKLARCZYK

Dziś ogłaszamy **KONKURS WAKACYJNY**
na najlepszą korespondencję pt.

„DO GŁOWY BY MI NIE PRZYSZŁO"!

● Wakacje w pełni, dwa tygodnie wypoczynku już masz za sobą, przygód wydarzyło się bez liku, jesteś uwolniony od szkolnych zgryzot, napisz więc list pt. **„Do głowy by mi nie przyszło"**. Niech to będzie list na dowolny temat, ale śmieszny jakich mało! Ciekawe, co też Ci przyjdzie do głowy...?

● Otrzymasz nagrodę wakacyjną – kolorowe znaczki „Świata Młodych" (prześliczne).

● Czekamy na list śmieszny jakich mało... co wymyślisz? **(bs)**

Fot. **CAF – Marek Broniarek**

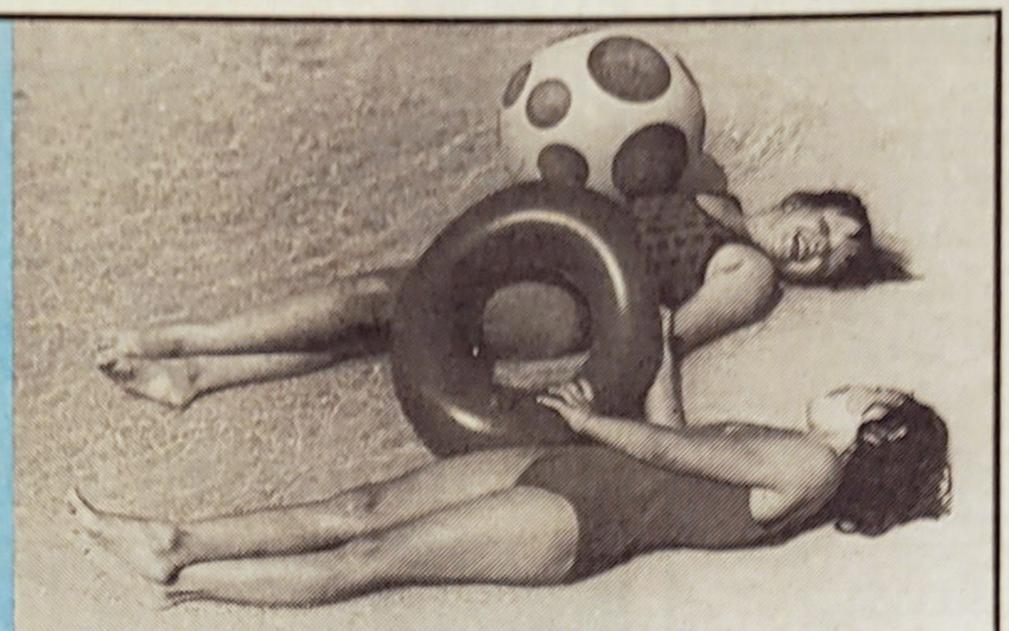

Kącik przyjaciół

CZEKAM NA LISTY OD MŁODZIEŻY Z SOLCA KUJAWSKIEGO

Chciałabym nawiązać korespondencję z koleżanką lub kolegą z Solca Kujawskiego. Może niektórzy pomyślą, że to dziwne, ale ja marzę o tym, aby mieć chociaż dwie widokówki i malutki opis tego miasta. Mogłabym przecież tam pojechać – pomyśli ktoś. Jest to jednak naprawdę niemożliwe. Z niecierpliwością będę czekała, że ktoś z Solca Kujawskiego do mnie się odezwie. Piszę wiersze do pamiętnika i uwielbiam piosenki.

Katarzyna Adiuszyn
ul. Nakielska 123/4
85-347 Bydgoszcz

CHCĘ KORESPONDOWAĆ Z WŁAŚCICIELAMI MAŁYCH ZWIERZĄTEK

Mam w domu świnkę morską, nazywa się Basia. Karmię ją jarzynami: marchewką, sałatą, kalarepą. Od czasu do czasu daję jej wodę. Nie musi dużo pić, bo czerpie dużo soków z warzyw. Trzymam ją w klatce dla ptaków. Codziennie zmieniam posłanko (trawa, lignina, kawałeczki gazety) i wcale nie czuć niemiłego zapachu, tak jak niektórzy twierdzą. Bardzo chciałabym korespondować z kimś, kto lubi małe zwierzątka i ma je w domu.

Agnieszka Kaprak
ul. Boh. Września 2/19
41-103 Siemianowice Śl. 3

CO MNIE CZEKA W NOWEJ SZKOLE?

Skończyłam naukę w szkole podstawowej. Po wakacjach idę do Liceum Ogólnokształcącego o kierunku matematyczno-fizycznym. Przyznam szczerze, że trochę boję się nowej szkoły. Bardzo chciałabym nawiązać kontakt z moimi rówieśnikami, którzy także idą w tym roku do nowej szkoły średniej o takim profilu jak ja. Byłoby mi miło, gdyby zechciał napisać też ktoś, kto przebrnął już przez pierwszą lub drugą klasę tej szkoły i przekazał w paru zdaniach, jak w niej jest. Czekam na listy.

Jolanta Hurkała
ul. Niepodległości 144c/33
75-255 Koszalin

ROZWIĄZANIE DRUGIEGO ETAPU KONKURSU „POMYSŁ NA WOLNĄ SOBOTĘ"

● Nadeszły wakacje, a zatem czas najwyższy, aby podsumować wyniki konkrusu.

● Przysłaliście ponad 1000 pomysłów na wolną sobotę!

● Wydrukowaliśmy część najlepszych, pozostałe będziemy zamieszczać od września.

● Dotychczas nagrody otrzymali:

1. Wieczne Pióro Naczelnego Redaktora – Halina Halkowicz, Bronków 20, 66-626 Dychów, woj. Zielona Góra za list pt. „Nawet zwykła kura prowadzi wspaniałe życie, 52 nr „ŚM".

Długopisy:
1. Mirosław Wende, ul. Okólna 23/27 m 5, 87-100 Toruń za list pt. „Nikt z dorosłych nie pomyślał o właściwym zorganizowaniu wolnych sobót", 52 nr „ŚM".
2. Agnieszka Gruszczyńska, ul. Broniewskiego 18 m 1, 73-102 Stargard Szcz. za list pt. „Ludzie, czy w wolną sobotę nie należy odpocząć gdzieś za miastem, czy tylko dyskoteka jest najlepszą rozrywką?" 36 nr „ŚM".

Flamastry:
1. Barbara Naguszewska, ul. Kościuszki 5 m 1, 14-520 Pieniężno, woj. Elbląg za list pt. „Głowa mi puchnie od płaczu tej mojej młodszej siostry", 52 nr „ŚM".
2. Julia Kozłowska, Żdżary 18, 72-100 Goleniów, woj. Szczecin, za list pt. „Nie ma to jak w rodzinie", 36 nr „ŚM"
3. Wioletta Andrzejczak, Os. XXX-lecia PRL 711/410, 73-110 Stargard Szcz. za list pt. „Nie można się oglądać tylko na nauczycieli", 36 nr „ŚM".

PROSIMY O POMOC!

Od 10 miesięcy uczymy się w nowej, pięknej, wspaniale wyposażonej szkole w Świeradowie Zdroju woj. jeleniogórskie, na którą czekaliśmy wiele lat.

Na patrona szkoły wybraliśmy wielką polską uczoną Marię Skłodowską-Curie.

Obecnie różnymi formami pracy wychowawczej pogłębiamy nasze wiadomości o patronce szkoły. Wypracowujemy fundusze na sztandar. Pragniemy nawiązać korespondencję ze szkołami noszącymi imię tej zasłużonej Polki. To ułatwi nam zgromadzenie cennych informacji, a może i pamiątek do kącika bohatera.

Szkoła Podstawowa Nr 1
ul. Parkowa 4
59-850 Świeradów Zdrój

Spotkania

BEZ GRANIC

Po spotkaniu nad Adriatykiem, na które zaprosiłem Was przed tygodniem, dziś czeka nas inna podróż, dalsza i bliższa zarazem – podróż bez granic...

Pantomimos to po grecku „naśladujący wszystko". I tu pierwsze w naszej podróży przekroczenie granic, których nie zna w naśladowaniu rzeczywistości ta zrodzona przed wiekami sztuka. Odtworzyć może i lekkość lotu ptaka i ciężar nieistniejącego realnie kamienia, miłość zaklętą w geście i spojrzeniu, bunt i nienawiść ukryte w gwałtownym ruchu i bezsilnym zaciśnięciu pięści. I będzie to zrozumiałe dla każdego, jakim nie władałby językiem, bo język ruchu jest uniwersalny. Przekraczając jego bariery, przekraczamy w naszej podróży kolejne granice.

Z potrzeby ich przekroczenia wyrosła zresztą po trosze sama pantomima. Aktorzy wędrownych zespołów często nie znali języka widzów, przed którymi występowali, eliminowali więc słowo na rzecz mimiki i gestu. W siedemnastowiecznym Paryżu nie wolno było posługiwać się słowem teatrom nie posiadającym licencji, co zmusiło aktorów do stworzenia niemego widowiska. Wesoły Arlekin w zeszytym z kolorowych łat kostiumie i na biało ubrany smutny Pierrot to postacie z tamtego teatru, z których szczególnie druga na dobre zadomowiła się w pantomimie.

W Polsce najgłośniejszą sceną mimów jest Wrocławski Teatr Pantomimy, założony w 1956 roku i prowadzony do dzisiaj przez Henryka Tomaszewskiego. Ludzkie czyny i ludzka walka, ludzkie uczucia, sny, marzenia i fantazje, ludzkie deformacje stają się tworzywem kolejnych siedemnastu programów, z którymi mimowie Tomaszewskiego objeżdżają świat, przekraczając z polską sztuką kolejne granice. Czytając fragmenty zagranicznych recenzji możemy przekroczyć je razem z nimi:

RFN: „Kto zna Wrocławski Teatr Pantomimy z jego pierwszych objazdów artystycznych, może tylko z niedowierzaniem i zdumieniem obserwować rozwój tego jedynego w swoim rodzaju zespołu teatralnego".

Francja: „Nie wiadomo, co bardziej podziwiać – precyzję zespołu czy gibkość i muskularność poszczególnych wykonawców".

Rumunia: „Polski zespół nie stara się zastąpić słowa, pragnie dominować siłą własnej nowej formy ekspresji".

Wielka Brytania: „Jest to balet, taniec nowoczesny, melodramat, a równocześnie nie jest to żadna z wymienionych rzeczy".

A więc granice sztuk zostały przekroczone...

W ostatnim spektaklu Tomaszewskiego, w „Rycerzach Króla Artura", z którymi teatr zjechał do Warszawy na początku tego lata, nie obawiając się konkurencji z dominującą wieczory wielu Polaków piłką nożną, otóż w spektaklu tym Tomaszewski, scenarzysta, reżyser i choreograf w jednej osobie, sięgnął do tematów średniowiecznych legend arturiańskich, których bohaterem jest legendarny król Celtów, znany z różnojęzycznych zapisów kronikarzy i poetów Walii, Anglii, Normandii, Francji i Niemiec. Bo legendy łatwiej przekraczają granice niż ludzie...

Kto nie znał choć w największym skrócie dziejów króla Artura i jego Rycerzy Okrągłego Stołu, ich poszukiwań cudownego naczynia zwanego Świętym Graalem, ten nawet z programem w ręku z trudem mógł się zorientować w skomplikowanej akcji spektaklu, bo – i z tego czynię zarzut Tomaszewskiemu – sięgając do wielkiej literatury (poprzednio do „Hamleta"), staje on niemal przed niemożnością wyrażenia wszystkiego podstawowym językiem swego teatru – ruchem. Choć z drugiej strony jeden z wcześniejszych spektakli Tomaszewskiego – „Sen nocy listopadowej" – zainspirowany dramatem Wyspiańskiego, wydał mi się w pełni czytelny. Po prostu dzieje naszego powstania znałem lepiej niż dzieje celtyckiego króla.

I tu właśnie natrafiamy na podstawową prawdę o mijaniu granic w sztuce: jeśli miniemy te najbliższe, mijanie dalszych nie będzie sprawiać nam nie tylko żadnych trudności, ale będzie dodatkową przyjemnością przez możliwość budowania skojarzeń i analogii, odkrywanie podobieństw, bo Kraina Sztuki, podobnie jak prawdziwy Świat Człowieka, jest mimo wszelkich narzucanych i odczuwanych ograniczeń – bez granic.

Znany Wam pewnie z telewizyjnego serialu dzielny Lancelot, jego syn i nieskalany rycerz Galahad, młodziutki Parsifal i jego syn Lohengrin, obydwaj bohaterowie dramatów muzycznych Wagnera, leżące w tym samym legendarnym kręgu dzieje tragicznej miłości Tristana i Izoldy, Święty Graal – z jednej strony naczynie, w którym zebrano ponoć krew z boku Chrystusa, z drugiej coś, czego istoty zgłębić się nie da, ale poszukiwaniu czego warto poświęcić życie, sama idea Okrągłego Stołu, przy którym równe miejsca mogą zająć wszyscy najdzielniejsi – to postacie i sprawy spotkane w tej podróży.

Bo można podróżować nie tylko za prawdziwe granice...

Czekając na listy z takich wakacyjnych wojaży, na które stać każdego, zapraszam za tydzień w kolejną podróż.

Jarek

REDAKCYJNA POCZTA

Jesteś potrzebna!

Droga Aniu! Twój list zamieszczony w 43 numerze „Świata Młodych" bardzo mnie poruszył. Piszesz, że nie możesz znaleźć wspólnego języka z koleżankami; może to Ty powinnaś zrobić ten pierwszy krok, uśmiechać się częściej? Pomyślisz z pewnością, że wypisuję Ci bzdury, bo jak można się uśmiechać do kogoś, kto cię nie lubi.

Powiem jedną prawdę, że jeżeli będziesz ponura i smutna, to wcale nie znajdziesz koleżanek. Znasz to przysłowie: *„Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie"*. Czy w Twoim gronie wszyscy są zawsze weseli, nie mają kłopotów, zmartwień? Rozejrzyj się, może właśnie komuś takiemu potrzebna jest Twoja pomoc. Drugi Twój kłopot (w ogóle czy można nazwać to kłopotem), to niski wzrost. Ja mam 16 lat, mam również 158 cm wzrostu i wcale się tym nie przejmuję. To, że jesteś najniższa w klasie nie znaczy, iż jesteś już najgorsza i najgłupsza. Mogę Cię jednak pocieszyć, na pewno urośniesz, ja mając tyle lat co Ty, miałam 154 cm. I nie myśl, że jesteś niepotrzebna, bo to jest nieprawda.

Renata

Dziękuję za listy

Po wydrukowaniu mojego adresu w „Kąciku Przyjaciół" dostałam około 500 listów. Rozumiesz, droga „RP", że nie jestem w stanie na wszystkie odpisać i wybrałam tylko kilka listów. Za Twoim pośrednictwem chciałabym przeprosić tych wszystkich, którzy nie otrzymali ode mnie odpowiedzi. Dziękuję wszystkim za piękne listy, widokówki, znaczki, opakowania od czekolad, zdjęcia Elvisa i własne. Jeszcze raz przepraszam.

Izabella Gadawska

Każdy człowiek, nawet ten mały ma prawo do decydowania o sobie

Do napisania tego listu skłonił mnie taki oto przypadek: kilka tygodni temu zaniosłem kartę na kolonie do mojej wychowawczyni, aby mi ją uzupełniła. Powiedziała, bym przyszedł po lekcji. Gdy odbierałem kartę, zobaczyłem w rubryce: „Organizacje, do których należy uczeń" (czy coś w tym rodzaju) nazwę TPPR. Zdziwiony poprosiłem wychowawczynię, aby mi to skreśliła, gdyż ja nie należę do tej organizacji. Na to pani mi odpowiedziała, że wszyscy należą i nie ma gadania. Odparłem, że przecież nigdy nie wstępowaliśmy do TPPR-u, nie mamy legitymacji ani nikt nam nie mówił, że należymy do tej organizacji. Uważam, że jest to nie w porządku wobec uczniów. Przecież każdy człowiek, nawet ten mały ma prawo do decydowania o sobie. Na koniec chciałem się zapytać czytelników „ŚM" czy w ich szkołach jest tak samo. Napiszcie do mnie. Oczywiście jeśli „Świat Młodych" wydrukuje ten list, a mam nadzieję, że tak.

Marcin

OD REDAKCJI: Jak widzisz, Twój list wydrukowaliśmy. Trudno się z tobą nie zgodzić. Masz rację i przytaczasz słuszne argumenty. Tylko osobista motywacja i będąca jej skutkiem decyzja liczą się przy wyborze organizacji. Wybieramy my, a nie ktoś za nas. Zmuszanie do wyboru i fałszowanie rzeczywistości jeszcze nikomu i nigdzie nie przyniosło sukcesów. (bs)

HOROSKOP

POD SŁOŃCEM

Czeka Cię galop szalony. Twój rumak nieść Cię będzie przed siebie, goniąc uciekający horyzont. Za Tobą jeździec, przed Tobą jeździec, a wokół zieloność lasów, pól i świat odkrywany na nowo.

Pójdziesz gromadą przez miasto i wieś tropem huśtawki i piaskowej babki. Trop barwą utrwalony na papierze przynieść Ci może sowitą nagrodę. W szuwarach i w haśle: „pałka, zapałka, dwa kije" znajdziesz klucz do zadziwiającej zagadki gastronomicznej. Jeśli ją odgadniesz, czeka Cię udane spotkanie towarzyskie.

Pomyślny wiatr: Orkan: figura geometryczna: koło, liczba – 2.

Każdy może być Robinsonem

PAŁKA TEŻ NIE GORSZA!

Jeśli nie trafiły Wam do przekonania placki z butomusa opisane w poprzednim odcinku „Robinsona", proponuję na następny obiad pieczone lub gotowane podziemne łodygi **pałki wodnej** (*Typha lafitolia*). Jest to roślina chyba każdemu znana, rośnie na płyciznach stawów, jej żeńskie kwiaty na długich łodygach w formie brązowych kolb (męskie tworzą wiechę na szczycie) są często sprzedawane na targach jako ozdoba. Podziemne kłącza są słodkie, grube na 2–3 cm i zawierają obok 46 proc. skrobi i 20 proc. białka, aż 11 proc. cukru! Ugotowane – po obraniu ze skórki, przypominają w smaku szparagi, a ze świeżym masełkiem mogą być ozdobą każdego najwykwintniejszego obiadu. Na mąkę należy je pociąć na krótkie 1–2 cm kawałki, ususzyć w piecu i gdy staną się łamliwe – zemleć w młynku. Mąka taka jest jeszcze delikatniejsza niż z butomusa i nadaje się do pieczenia nawet biszkoptów. Zupełnie podobnie można wykorzystać kłącza naszej poczciwej **trzciny**, która wszak jest bliską krewną trzciny cukrowej. **(jd)**

Na spotkanie przygody

RUMAKI WTP'82 DOTRĄ WSZĘDZIE!

WTP'82

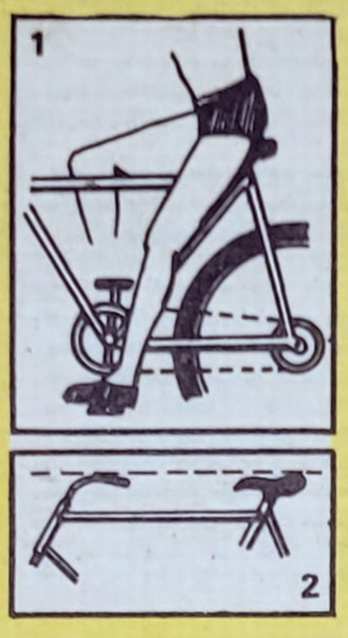

Oczywiście, rumaki WTP'82 – to nasze poczciwe rowery. Właściwie dopiero teraz, w czasie wakacji można sobie na nich solidnie pojeździć. Pojeździć? STOP! Czy są do tego odpowiednio przygotowane? Nie jesteśmy tego tak zupełnie pewni... Więc przed dłuższą, choćby jednodniową rowerową wyprawą – radzimy:

Prawidłową i zdrową jazdę zapewnia tylko taki rower, który dostosowany jest do wzrostu rowerzysty, a więc:

- ustawia się siodełko tak, by noga siedzącego oparta o pedał przy najniższym położeniu pedału była tylko leciutko ugięta w kolanie (rys. 1);
- opuszcza się kierownicę na wysokość taką, by rączki znajdowały się na jednej linii z płaszczyzną siodełka (rys.2).

Właściwa sylwetka rowerzysty przy takim przygotowaniu roweru pokazana jest na rys. 3. W czasie jazdy na wyprawę a nawet dłuższy spacer obowiązuje zasada „wolnych pleców", a więc bez plecaka, najwyżej z chlebakiem i to nie przez ramię lecz przy pasie. Bagaż rozmieszczamy symetrycznie na bagażnikach lub w specjalnych torbach (rys. 4). Mundur harcerski – szczególnie w słoneczną pogodę – nie jest dobrym strojem na rower. Konieczne są długie, spięte u dołu spodnie, gdyż krótkie powodują otarcia i nadmierne opalanie.

A oto jeszcze kilka wskazówek praktycznych, których stosowanie przyczyni się do prawidłowego funkcjonowania naszych letnich dwukołowych rumaków:

- Nie czyść zabłoconego roweru na sucho, porysujesz bowiem lakier. Dobrze wymyj rower i wytrzyj go suchą szmatką. Bacz, by używane do konserwacji części metalowych – benzyna, nafta lub smary – nie stykały się z ogumieniem.
- Nie smaruj łańcucha olejami, gdyż powoduje to osadzanie się pyłu i piasku, a krzemionka w nim zawarta przyspiesza wycieranie się łańcucha. Łańcuch myjemy w nafcie i konserwujemy smarem grafitowym.
- Pamiętaj o tym, że po sezonie letnim czeka Cię dokładny „przegląd techniczny" i konserwacja roweru na zimę.

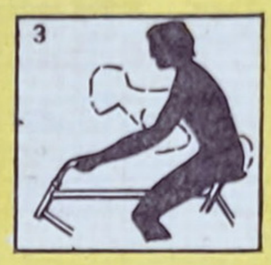

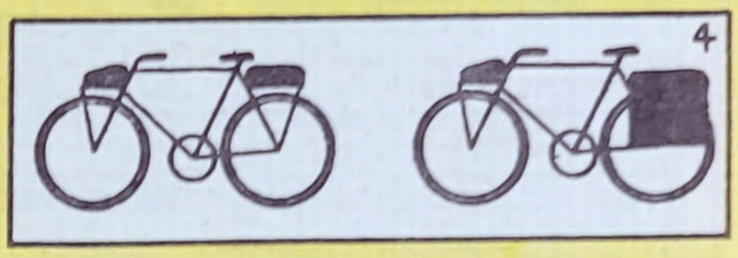

Jest takie muzeum

NIE SZALAŁEM!

W jednej z krakowskich gazet z początków naszego stulecia ukazała się pełna trwogi notatka o szalejącym na Podhalu orkanie.

Następnego dnia redakcja otrzymała następującej treści telegram: *„Nie szalałem. Z poważaniem Władysław Orkan"*. I ta anegdota jest, jak sądzę, dostatecznym wstępem do informacji o muzeum pisarza w jego domu w Porębie Wielkiej.

Otwarto je w 1973 roku, w 43 lata po jego śmierci, i choć wydawać by się mogło, że czasu nie upłynęło aż tak wiele – sporo cennych pamiątek po nim zaginęło bezpowrotnie. Co zatem po Franciszku Smreczyńskim (bo taki brzmi jego prawdziwe nazwisko) pozostało? Przede wszystkim książki, trochę fotografii, dyplomy i malowane przez pisarza akwarele. Jest lampa naftowa przy której pracował, i kałamarz. Są dwa wieńce: jeden otrzymał na jubileusz 25-lecia twórczości, drugi po premierze sztuki teatralnej „Skapany świat". I jeszcze stary kapelusz, chętnie przypisywany Orkonowi, a w rzeczywistości należący do jego brata. Zaś w sąsiedniej izbie stoją niezbędne, proste, domowe sprzęty: drewniane łóżko, skrzynia, stół, krzesła, lustro.

To surowe i skromne wyposażenie domu Władysława Orkana pozostaje w ścisłym związku z warunkami życia mieszkańców tamtej dawnej, podhalańskiej wsi.

Zabawy naszych pradziadków

RODZINNA LOTERYJKA

Weź głęboki talerz i plastikową podstawkę pod doniczkę. Do talerza nalej wody, do ścianek pływającej po tej wodzie podstawki przyczep tyle sylwetek wyciętych z papieru, ilu członków liczy rodzina. Najlepiej jeśli będą to portrety. Wystarczy teraz lekko zakręcić podstawką, aby otrzymać coś w rodzaju jarmarcznej ruletki. Postać dostojnego filozofa – dawniej wszystko musiało być dostojne – wyznaczającego uprzywilejowane miejsce na obwodzie talerza, można zastąpić np. figurką ulepioną z plasteliny. W ostateczności możecie namalować w tym punkcie strzałkę. Nie namawiam za bardzo do grania w tę loteryjkę z tatą i mamą na pieniądze, ale może np. warto przy jej pomocy wyznaczyć czasami tego, który ma wynieść ten nieszczęsny kubeł ze śmieciami, skoczyć szybko do sklepu, czy zaparzyć herbatę. Oczywiście, zdając się w takich przypadkach na ślepy los, wykluczamy z konkurencji dziadków i maluchów. Jedni to już mają za sobą, inni dopiero będą mieli... **(jd)**

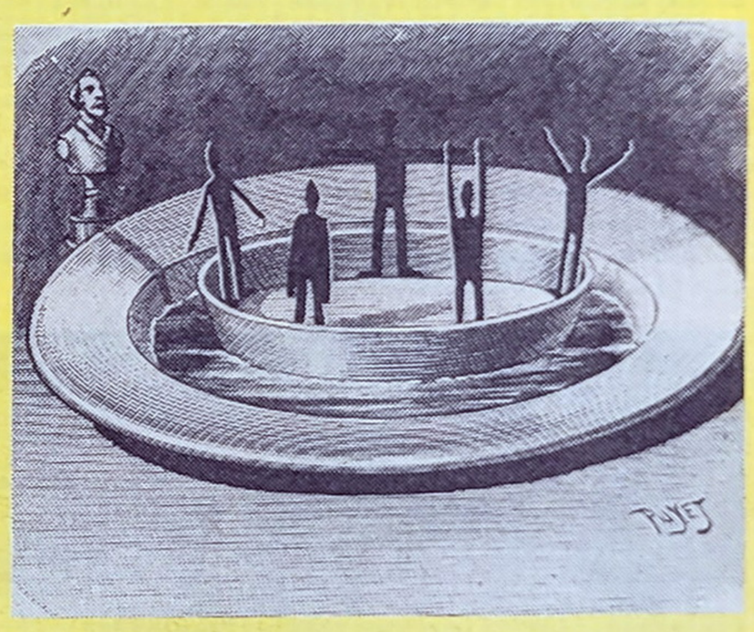

WYŚCIG Z POKRYWKAMI

Liczba uczestników dowolna, ale parzysta. Gracze dwu lub więcej zespołów ustawiają się w rzędach na linii startu. Na dany sygnał pierwsi zawodnicy z rzędów, mając na głowach pokrywki od garnków, biegną do linii mety (20–30 kroków) bez zrzucenia pokrywek. Po osiągnięciu mety zdejmują pokrywki i wziąwszy je w ręce wracają na linię startu, gdzie wręczają je następnym graczom. Zawody wygrywa zespół, którego uczestnicy szybciej i prawidłowo wykonają zadanie.

Odmiana I. Wszyscy gracze wracają z mety także z pokrywkami na głowie. Odległość linii startu od linii mety należy wówczas zmniejszyć.

Odmiana II. Zawody możemy przeprowadzić indywidualnie. Indywidualni zwycięzcy każdego wyścigu rywalizują z sobą tak długo, aż wyłoni się najszybszy i najsprawniejszy zawodnik.

Uwaga: jeżeli pokrywka spadnie z głowy, wówczas należy się zatrzymać, ponownie położyć ją na głowie i dopiero dokończyć bieg.

ZGADNIJ, KTO TO NAPISAŁ

Wie pan co, a mnie czasami
rosną, panie, rude włoski,
w ogóle taniec na wulkanie
Trzetrzewiński. Krupczałowski.

Czy już wiesz kto jest autorem dzisiejszej zagadki literackiej? Sprawdź, czy odgadłeś prawidłowo. Odpowiedź znajdziesz wewnątrz numeru.

Z KSIĘGI REKORDÓW GUINNESSA...

Najdłuższy potwierdzony przelot balonika wynosił 14 500 km. Jane Dorst wypuściła ten balonik w Atherton w Kalifornii USA 21 maja 1972 r., a znaleziono go w Pietermaritzburgu w Południowej Afryce 10 czerwca. Jeżeli chodzi o najdłuższy zanotowany lot balona z Wysp Brytyjskich, miał on długość 9460 km. Gerard Wankling wypuścił balon wypełniony wodorem z wyspy Jersey 15 marca 1974 r. a znaleziono go w Camps Bay, Cape Province w Południowej Afryce, 28 kwietnia.

Jakie one są i ile ich jest w Polsce?

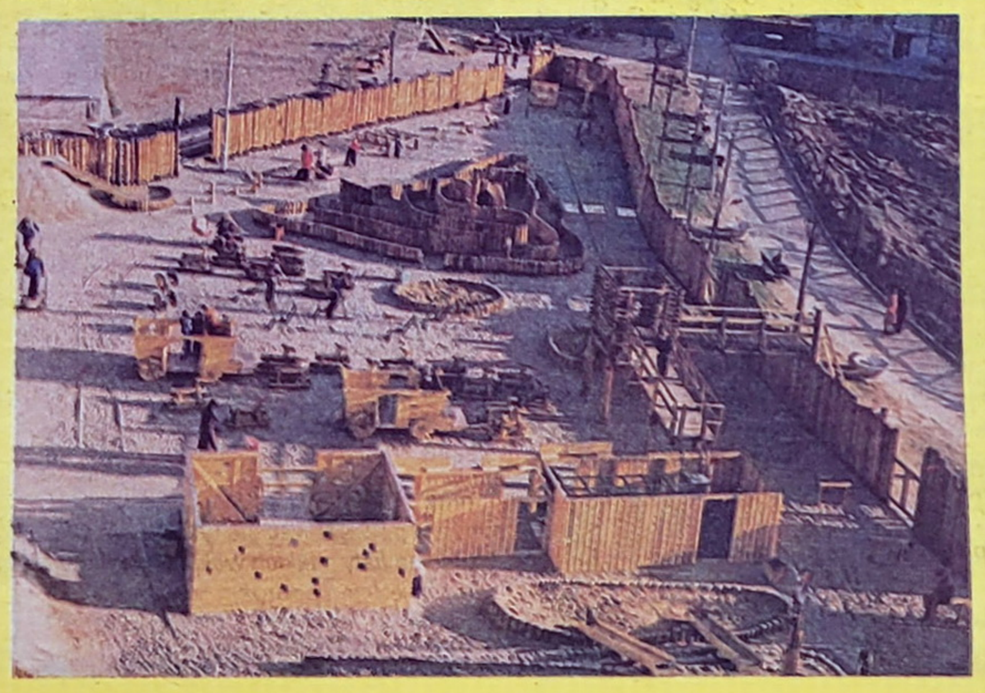

Tak oto z lotu ptaka przedstawia się fragment jednego z większych osiedlowych placów zabaw w naszym kraju... Wiemy, że podobnych jest w Polsce kilka, a mniejszych – kilkanaście może nawet kilkadziesiąt. Ale nie wiemy:

- **Gdzie one są?**
- **Ile ich jest – dokładnie?**
- **Kto je zaprojektował?**
- **Kto się nimi opiekuje?**
- **Jakie urządzenia są na ich terenie do Waszej dyspozycji?**

Czekamy na listy z odpowiedziami na te pytania!

Opisz więc, możliwie dokładnie, znany Ci plac zabaw, narysuj jego plan, przedstaw zabawy, w które się tam bawicie. Najciekawsze listy wydrukujemy, a ich autorzy otrzymają normalne honoraria autorskie. Pisz szybko, aby Twój list został wydrukowany jeszcze w czasie wakacji! **(jd)**

Fot. **J. Dąbrowski**

UWIERZYĆ W SWOJĄ SZANSĘ

Jesteśmy bardzo zgrani, związani ze sobą „na dobre i złe", jesteśmy rodziną, a przecież głównie o to chodzi. Dzięki drużynowemu i druhnie, zbiórkom i obozom, koleżankom i kolegom z harcerstwa bardzo się podciągnęłam w nauce. Każdemu życzę takiej drużyny, zastępu. Tej naszej przyjaźni, naszych przeżyć nie da się opisać.

Renata z Krakowa

Harcerstwo dało mi dużo niezapomnianych wrażeń. Uważam je za coś pięknego, wspaniałego, niepowtarzalnego i dlatego nie godzę się z jego powolnym umieraniem w naszym liceum. W tym roku „batalię o harcerstwo" właściwie przegrałem, ale spróbuję ponownie...

Janusz z Zamojskiego

Kiedy rozmawiam z koleżankami z innych drużyn, to aż się dziwię, że są drużyny, do których dopłaca szkoła. My potrafimy mieć swoje zarobione przez nas pieniądze. Co robimy na zbiórkach? Uczymy się żyć w zespole, zdobywamy sprawności i stopnie, robimy porządki wokół szkoły, pomagamy starszym w zagospodarowaniu ogródków przydomowych oraz przy zakupach... Nauczyłam się w harcerstwie widzieć potrzeby innych ludzi, pomagać im, walczyć z trudnościami, organizować pracę z młodszymi od siebie. Poznałam historię naszej organizacji i wielu ciekawych ludzi na spotkaniach. Ponad wszystko nauczyłam się cenić swój dom, rodzinę, wieś i Ojczyznę...

Lucyna

Mamy wspaniałego przyjaciela drużyny. Jest nim druh Tadeusz Dominiczak. Pan ten ma stopień naukowy docenta. Jako biolog uczestniczył w wielu wyprawach naukowych. Był prawie na wszystkich kontynentach świata. Spotkania z druhem Dominiczakiem są bardzo interesujące, całymi godzinami moglibyśmy słuchać opowiadań o życiu ludzi w innych krajach. Pan Dominiczak kocha harcerstwo i w swoich listach pisze nam (mieszka on w Gdańsku 50 km od naszej wsi), jak organizować taką czy inną zbiórkę. Uczy nas kochać przyrodę. Życzymy wszystkim drużynom takiego przyjaciela.

Wioletta Wiecha Więckowy

Nasza drużyna jest mała. Mimo to staramy się spędzać czas przyjemnie. Już niedługo wyjeżdżamy na rajd. Pierwszy! Nie wiadomo, czy „moje" dzieci sobie poradzą, bo to rajd trudny. Wszystko we własnym zakresie. Ale bardzo przyda się każdemu taka szkoła.

Ola

Najwspanialszym dotąd dniem w moim życiu był dzień Przyrzeczenia. Czułam się dziwnie, a raczej dumnie, gdy przyjmowano mnie w szeregi Związku i przypinano do bluzy Krzyż Harcerski, gdy wymieniałam słowa Roty, w oczach nagle ni stąd ni zowąd poczułam łzy.

Bożena

Przeczytaliście fragmenty kilku zwierzeń waszych rówieśników, którzy wzięli udział w konkursie pn. „Moje harcerstwo". Celowo wybraliśmy listy optymistyczne, zresztą takich jest najwięcej! Wydaje się, że dziś każdemu z nas potrzebna jest wiara, że jednak można coś dobrego robić i mieć z tego satysfakcję. Tak jak Ola, Lucyna, Renata i nawet Janusz, któremu się nie powiodło w tym roku, ale wierzy, że w przyszłym batalię o harcerstwo wygra. Gdyby taką postawę zajęli wszyscy, gdyby chcieli uwierzyć w swoją szansę.

Od kilku tygodni trwają przygotowania do IX Plenum partii, które omawiać będzie sprawy młodego pokolenia Polaków. Nie są one łatwe, tak jak wszystko dziś w Polsce. Najgorzej mają ci, którzy wchodzą w dorosłe życie, podejmują pierwszą swoją pracę zawodową, zakładają rodziny. Kryzys dotknął ich najbardziej. Troską dorosłego społeczeństwa, a przede wszystkim organizacji młodzieżowych i partii jest poszukiwanie możliwie najlepszych rozwiązań, aby ulżyć młodym w ich starcie życiowym.

Ale to tylko jedna strona, druga może jeszcze ważniejsza, to konieczność skupienia wszystkich Polaków – młodych i dorosłych – wokół programu naprawy Rzeczypospolitej. Nie możemy stać na uboczu i przyglądać się obojętnie na los naszej ojczyzny. To przecież nasz kraj, nasz wspólny dom, o który musimy się troszczyć, każdy na miarę swoich możliwości. Prawda, że wiele złego działo się w przeszłości. Ci co mieli dbać o właściwy sens socjalizmu, o urzeczywistnienie ideałów sprawiedliwości społecznej, zrobili wszystko, aby te ideały ośmieszyć. Może nie mieli takiego zamiaru, ale tak się stało. Dziś stoi przed nami zadanie niełatwe – musimy naprawić to, co inni zniszczyli.

Na koniec przeczytajcie fragment książki Jana Legowicza pt. „Świadomość współuczestnictwa". Mamy nadzieję, że przeczytają go również dorośli.

„Jest rzeczą ważną, by mimo skłóceń i sporów pokolenia młodych i dorosłych przynajmniej chciały darzyć się przyjaźnią, a nie wątpić w jej potrzebę i szczerość, ufać w nią i gdzie można, tam wzajemnie się nią świadczyć i wzbogacać. Młodzi noszą w sobie skarb swej młodości, ale wnoszą też wiele z materialnego i duchowego zabłąkania w mrokach z trudem rozszyfrowywanej przez siebie codzienności i w tym wymagają pomocy umysłu i serca ze strony starszych: swoich rodziców, nauczycieli, życzliwych towarzyszy pracy, społeczeństwa. I jeśli młodzi mają wierzyć dorosłym, i już od najwcześniejszej młodości im ufnie towarzyszyć, to przede wszystkim dlatego, że będą pewni ich przyjaznych uczuć i przyjaźnie czynnych ich dowodów. Młodzi na ogół sami się nie załamują, ale mogą ich załamywać dorośli, kiedy zapominają, że prawdy swego postępowania nie da się skryć ani zataić przed młodymi. Postępowanie dorosłych pozostaje pod nieustannym nadzorem i kontrolą ze strony młodych i powodującej nimi wiary w ideały, które wbrew pozorom nigdy ich nie opuszczają."

Księgarenka MAW z ul. Wilczej zaprasza

POWIEŚĆ, WIERSZ, A MOŻE REPORTAŻ?

W niespełna miesiąc po otwarciu salonu wydawniczego MAW zwróciliśmy się do redaktora naczelnego tego wydawnictwa z pytaniem – jak ocenia początki działalności księgarni z ulicy Wilczej 62 w Warszawie.

Red. Wacław Żurek: *Za wcześnie jeszcze, by stwierdzić, jak księgarnia prosperuje. Można natomiast powiedzieć jedno. Nie leżało w naszym zamyśle otwarcie salonu wyłącznie w tym celu, by zaoszczędzić 25 proc. księgarskiego rabatu, czyli zyskać więcej dla wydawnictwa na książce tu, u nas sprzedawanej. Przede wszystkim chcemy stworzyć w tym salonie miejsce spotkań z czytelnikami, bezpośrednio od nich dowiadywać się czego aktualnie poszukują i czego oczekują po Młodzieżowej Agencji Wydawniczej w przyszłości. Już po dwóch dniach sprzedaży zorientowaliśmy się, że kilkanaście tytułów cieszyło się wyjątkowym zainteresowaniem. Trzeba więc pomyśleć o ich wznowieniu.*

Druga nasza inicjatywa ma inny charakter. Odbyliśmy rozmowy z zainteresowanymi z warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych i doszliśmy do wniosku, że możemy stać się mecenasami młodych twórców. W naszym salonie-księgarni jest ściana, która doskonale nadaje się na miejsce ekspozycji prac graficznych studentów ASP. Oczywiście na zakończenie tych wystaw urządzalibyśmy aukcję prac.

Będzie więc, a właściwie już można kupić na Wilczej 62 wiele: czasopisma, komiksy, grafiki i oczywiście książki wydane przez MAW. W obecnym półroczu pojawi się na półkach, jak zapewnia red. Żurek, wiele tytułów. Z **literatury pięknej** np. psychologiczna powieść Ewy Ostrowskiej „Co słychać za tymi drzwiami", ciekawy debiut ucznia maturalnej klasy jednego z warszawskich liceów, Mariusza Maraszkiewicza „Drzwi bez okien" (Mariusz był przed laty laureatem Złotej Ostrogi w naszym konkursie literackim – i oto proszę), książka Marii Łopatkowej „Którędy do ludzi", o młodzieży, z którą stykała się autorka w swojej bogatej pedagogicznej przeszłości oraz sensacyjna powieść Marka Słyka „Gra o Supermózg".

Z dziedziny poezji – w niedługim czasie możemy spodziewać się tomiku jednego z czołowych poetów Nowej Fali – Krzysztofa Karaska „Trzy poematy". Wiersze te wiążą się tematycznie z Warszawą, a tom ilustrowany jest przez świetnego grafika – Jerzego Czerniawskiego.

Młodzież interesująca się **sztuką dramatyczną** powinna „zapolować" na interesującą pracę zbiorową pt. „Teatr STU". Jest to analiza i zapis dokumentacyjny spektakli i akcji parateatralnych tego teatru.

Zawsze poczytny **reportaż** reprezentowany będzie trzema tytułami. O burzliwych dziejach polskich insygniów koronnych opowiada Anna Chmielewska w „Tajemnicach skarbca", a w świat egzotyki i podróży przeniosą czytelników książki: „Na kolorowych atolach Oceanii" – Bronisława Dostatniego i „Wachty z trzech oceanów" Janusza Wolniewicza.

Z literatury popularno-naukowej: „Groźba i nadzieja" Bolesława Orłowskiego jest felietonowym spisem sensacji technicznych i wynalazków od czasów najdawniejszych do najnowszych.

No cóż, „salon" nie ma zbyt wielkiej powierzchni, ale nawet w tłoku warto cierpliwie poczekać

Nie można pominąć **poradników**. Dla dzieci młodszych przeznaczona jest, po raz czwarty już wznowiona, książeczka Jerzego Ławickiego, „Na ulicy i na drodze", a z pewnością nie tylko instruktorom ZHP przyda się „Medycyna w plecaku" Artura Dziaka.

W tym planie, różnorodnym i ciekawym, każdy może znaleźć dla siebie coś miłego – warto więc systematycznie zaglądać do salonu MAW przy ul. Wilczej w Warszawie. **(eb)**

Fot. **M. Zieleniewska**

Niektóre tytuły cieszyły się ogromnym powodzeniem i zostały w mig rozchwytane

Autograf pani Hanny Ożogowskiej zdobyty w dniu otwarcia „salonu" będzie dla czytelników z pewnością cenną pamiątką

HARCERSKI ŚWIAT

CZYLI COŚ WIĘCEJ NIŻ ORGANIZACJA

Paweł Wieczorek, autor „Zielonego Straszydła"

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

„S.M.": – *Chyba każdy młody człowiek tęskni za tym?*

P.W.: – Tak. Żyjemy w ciekawych czasach, ale dzisiaj nie sposób przeżywać przygody w pojedynkę. I dlatego pokazuję świat harcerzy – świat – czyli coś więcej aniżeli organizację.

„Ś.M.": – *Czyli harcerstwo nie jest dla Ciebie tylko organizacją?*

P.W.: – Oczywiście, że nie. Harcerstwo jest dla mnie przede wszystkim sposobem na życie. Bardzo stara i bardzo krótka definicja głosi, że harcerstwo to braterstwo w służbie i świeże powietrze. Zachęcam więc wszystkich do przeżywania harcerstwa w lesie. Niektórzy uważają, że harcerstwo to organizacja, struktura składająca się z drużyn, szczepów, hufców i chorągwi. Traktują harcerza jako część skomplikowanej maszynerii, służącej jakiemuś odległemu i bliżej niesprecyzowanemu celowi. Ci ludzie nie widzą lub nie chcą widzieć w harcerstwie braterstwa. A braterstwo wiąże przecież o wiele silniej niż wszelkie struktury organizacyjne. Można wyobrazić sobie harcerstwo bez władz organizacyjnych, ale bez kręgu ogniskowego nie sposób.

„Ś.M.": – *Pozostaje jeszcze służba...*

P.W.: – Tak. W „Zielonym Straszydle" nie widać jej na pozór. Nikt nie przeprowadza staruszki przez ulicę, nie grabi w czynie społecznym trawników... i o to właśnie chodzi. Harcerska służba jest jak przygoda. Spotykamy się z nią wtedy, kiedy się jej najmniej spodziewamy. Musimy umieć odpowiedzieć na konkretną potrzebę. Bo czyż nie jest służbą pomoc harcerkom zagrożonym powodzią, czy napadniętym przez chuliganów? Czy nie jest służbą ratowanie od zagłady szkółki leśnej? Okazji nie trzeba szukać. Znajduje się ją na każdym kroku.

„Ś.M.": – *Dlaczego w takim razie w dzisiejszym harcerstwie sprawa służby wydaje się być wartością mocno wątpliwą, dlaczego nie działa się już na rozkaz?*

P.W. – Służba na rozkaz? To byłoby nieporozumienie. Służba jako taka wcale nie musi być uświadomiona. Zrozumienie, że oddało się komuś ogromną przysługę przychodzi często później. Idee służby można bardzo łatwo wypaczyć i w ten sposób stracić nie tylko autorytet, ale i wzbudzić niechęć do społecznego działania. Młodzież obdarzona jest niezwykle czułym instynktem i momentalnie wyczuwa każde pozorne działanie. Jednocześnie, jeśli naprawdę jest jakaś potrzeba, to nikt młodzieży nie musi do wysiłku zachęcać. Najlepszym na to dowodem jest Pogotowie Zimowe Harcerek i Harcerzy...

„S.M.": – *Z książki wynika, że jesteś tradycjonalistą, i że ogromną wagę przywiązujesz do harcerskich symboli, oznak i godności. A przecież w Związku zachodzą ogromne zmiany.*

P.W.: – We wszystkich organizacjach, które mają tradycje i symbole równie zasłużone i godne szacunku jak harcerstwo – mądrość przywódców polega na tym, żeby niczego pochopnie nie zmieniać. O tej prawdzie często zapominano...

„Ś.M.": – *Mówisz o HSPS-ie?*

P.W.: – Dwa lata temu mówiłbym o HSPS-ie.

„Ś.M." – *A dzisiaj?*

P.W.: – Jestem harcmistrzem, a wielu moich kolegów harcmistrzów uważa, że zjadło już wszystkie harcerskie rozumy. Tymczasem dla mnie harcerzem jest człowiek tak długo, jak długo pracuje nad sobą. Dlatego dziś mówię już o czymś innym, a jutro chciałbym znowu wiedzieć więcej.

„Ś.M.": – *Wydaje mi się, że symboliczne „Zielone Straszydło" jest Twoim harcerskim ideałem. Na ile się z nim utożsamiasz i jak sądzisz – czy czytelnicy zaakceptują proponowany przez Ciebie wzorzec?*

P.W.: – „Zielone Straszydło" jest fanatykiem harcerstwa i moim ideałem wiernym słowom: „Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę..." Proponuję czytelnikom, by poszli tą samą drogą. Nie wiem jeszcze, kto podchwyci ten apel, ale z każdym chętnie się spotkam przy harcerskim ognisku.

„Ś.M.": – Na ile książka jest autentykiem opartym na Twoich przeżyciach, a ile w niej literackiej fikcji?

P.W.: – Wszystko to mogłoby być prawdą.

„Ś.M.": – *A nie jest?*

P.W.: – Wcale bym się nie zdziwił, gdyby ktoś napisał do mnie, że taką przygodę przeżył na harcerskim obozie.

„Ś.M.": – *Ale to nie jest odpowiedź na pytanie...*

P.W.: – Niech każdy poszuka odpowiedzi na swoim obozie. Ja gwarantuję, że każdą z tych przygód można przeżyć.

„Ś.M.": – *Czyli, że sam je przeżywałeś?*

P.W.: – Sam? Nie. Tego typu przygody przeżywa się wyłącznie w zespole.

P.W.: – *Czy „Zielone Straszydło"* ma szansę na ciąg dalszy?

P.W.: – Tak. Jeśli będzie taka potrzeba.

„Ś.M.": – *Dziękuję za rozmowę.*

Rozmawiał: **KAZIMIERZ KRZYŚKÓW**

Fot. **Zb. Bisanz**

TRZY KOLEJNE ZABYTKOWE MOTOCYKLE

PO ODNOWIE – JUŻ W MUZEUM TECHNIKI

DAJEMY GWARANCJĘ NA STO LAT!

– mówią uczniowie Zespołu Szkół Samochodowych nr 1 w Warszawie

Przedwojenny warszawski motocyklista, przynajmniej ten szanujący się, nie siadał na motocykl o mniejszej pojemności cylindrów, niż 250 cm³. Maszyna musiała być mocna jak tur, okazała, a przy tym – na wysoki połysk. Zwłaszcza, gdy młody motocyklista wyruszał w niedzielę w Aleje Ujazdowskie. Jechał wtedy wolno, godnie, by przechodnie – zwłaszcza rówieśnicy – z zazdrością napawali się widokiem jego wehikułu. Pełny szpan – jakbyśmy to dziś powiedzieli.

Inż. Rychter wybitny znawca zagadnień motoryzacji i ich znany popularyzator, podczas spotkania w Muzeum Techniki powiedział zebranym, że ten właśnie „motocyklowy szpan" stanął mu przed oczyma, gdy spojrzał na trzy zabytkowe motocykle, odnowione właśnie i zwrócone muzeum przez uczniów Zespołu Szkół Samochodowych przy ulicy Hożej. Bo też trzeba przyznać, że maszyny zaprezentowały się tak, jakby rzeczywiście miały zaraz wyruszyć na pokazową jazdę w Aleje...

Przypomnijmy: trzy lata temu między wspomnianym na wstępie Zespołem Szkół Samochodowych a Muzeum Techniki zostało zawarte godne uwagi porozumienie. Stanęło w nim, że co jakiś czas uczniowie szkoły podejmą się renowacji zabytkowych pojazdów w ramach prac dyplomowych. Pomysł takich właśnie niekonwencjonalnych dyplomów spodobał się w Ministerstwie Oświaty. Wkrótce więc zaczęły się w muzeum pojawiać odnowione wehikuły, o czym na bieżąco pisaliśmy. Tym razem w salach wystawowych zjawiły się trzy przedwojenne motocykle: SHL 98 Villiers – 1939 r., CWS M 111 – 1935 r. ciężki motocykl, używany kiedyś tylko do celów służbowych przez pocztę, wojsko itp. oraz NSU 200 z lat 1922–26.

O kłopotach i niemożnościach, o wszystkich przeszkodach, jakie mieli do pokonania uczniowie, można by napisać pewnie całą książkę. Książki co prawda nie będzie, ale za to być może powstanie artykuł, w którym dyplomanci podzielą się zdobytymi w toku prac doświadczeniami. Do jego napisania namawia ich redakcja „Młodego Technika". Byłoby bardzo dobrze, gdyby ten artykuł powstał. Wszak u nas niewielu jest takich, którzy poważniej zajmują się odnową motoryzacyjnych zabytków. Stąd uzasadniona obawa, że wiele sędziwych pojazdów, które – całe lub w częściach – tkwią jeszcze gdzieś w szopach czy piwnicach – przepadnie, bo nikt nie będzie chciał ani umiał zająć się nimi.

Uczniowie warszawskiej samochodówki brali się za robotę z przeświadczeniem, że chcą i umieją, jednak chwilami wyrastały przed nimi trudności – zdawało się – nie do pokonania. Zabytkowe pojazdy nie powinny składać się ze współczesnych części, potrzebne są oryginalne. Trzeba je zdobyć lub odtworzyć. Nasi dyplomanci nierzadko musieli się uciekać do tego drugiego rozwiązania, ze zdobyciem oryginalnych części mieli bowiem ogromne kłopoty. Ale i odtwarzanie było trudne. Nie mieli zadowalającej dokumentacji. Rysunki posiadali katalogowe, a nie konstrukcyjne, bez skali. Nie omieszkali wytknąć tego Muzeum Techniki. Ale p. Jan Tarczyński z muzeum odpowiedział im: to wy przecież jesteście tą naszą średnią kadrą techniczną, kombinujcie! Więc kombinowali...

Ale i o zdobyciu np. lakieru też prawie dziś nie ma co marzyć. Lakiernicy za nic nie chcieli go im sprzedać. Musieli ze wszystkim przeprowadzać się do ich warsztatów i tu lakierować. A tymczasem taki np. SHL 98 Villers wymagał trzynastu renowacyjnych warstw! No i zostały koniec końców położone i to na wysoki połysk. Do tego doszło chromowanie oraz niklowanie wielu detali, łącznie z obręczami i szprychami.

Gdy więc motocykle w pełnej gali stanęły w Muzeum, inż. Rychter stwierdził: zrobiliście motocykle przynajmniej o połowę więcej warte od oryginalnych! Tak starannie wykonywało się przed wojną tylko po kilka egzemplarzy z każdej serii – by je pokazać np. ministrowi, dyrektorowi poczt i telegrafów czy generałowi. To, co wy osiągnęliście, stanowi szczyt wyglądu motocykla!

– Dajemy gwarancję na sto lat! – odpowiedział na to, pół żartem, pół serio, jeden z uczniów.

Motocykle nie są jednak na chodzie. Żeby mogły jeździć, trzeba by w nich bowiem tyle zmienić, że straciłyby swą wartość dokumentów rozwoju techniki. A ten ich walor tu najbardziej się liczy. Dobrze jest wręcz, gdy taki, traktowany jako dokument, zabytkowy pojazd ukazuje choć częściowo stopień zużycia części i materiałów zastosowanych przed półwieczem do jego budowy. Mówi to bowiem sporo o ówczesnych technologiach.

W sumie – zgodnie uznano, że młodzi ludzie wykonali swą robotę bez zarzutu. No, a co oni z tego będą mieli – poza oryginalnymi dyplomami? **Zenon Lemańczyk**, który pracował przy odnowie SHL 98 Villiers – np. nową pasję. Powiedział nam bowiem, że „połknął tego konika" i teraz – już na własną rękę – chce się zająć poszukiwaniem takich motoryzacyjnych zabytków. Chce zacząć od starego „Junaka" – o ile tylko uda mu się go kupić. **Paweł Helbrecht**, który pracował przy CWS M 111, powiedział zaś na zakończenie o pewnej korzyści, która zapewne jest udziałem ich wszystkich. Otóż w szkole uczeń zajmuje się przeważnie tylko jakimiś detalami pojazdów, podobnie ma się zwykle rzecz przy robieniu pracy dyplomowej. Tu zaś trzeba było mieć na uwadze cały pojazd i brać odpowiedzialność za jego ostateczny kształt. To poszerza horyzonty i umożliwia opanowanie w dość krótkim czasie przynajmniej podstawowych umiejętności z wielu dyscyplin – jak choćby elektronika pojazdowa, lakiernictwo czy wreszcie historia motoryzacji.

– Będzie pan miał – rzekł na zakończenie do dyrektora muzeum **Jerzego Jasiuka** ktoś z zebranych – argument nie do zbicia wobec opornych rzemieślników. Jak będą panu mówić, że tego czy owego za nic nie da się zrobić, to im pan odpowie: ależ mnie takie rzeczy już nieraz zrobili uczniowie, i to jak!

Na koniec jeszcze słowo o uczniach. Gdy podczas spotkania słuchałem, jak dyskutują z fachowcami – rzeczowi i zdecydowani w ocenach, wydali mi się bardzo już dorośli...

TOMASZ KŁOSOWSKI

Fot. **M. Szymański**

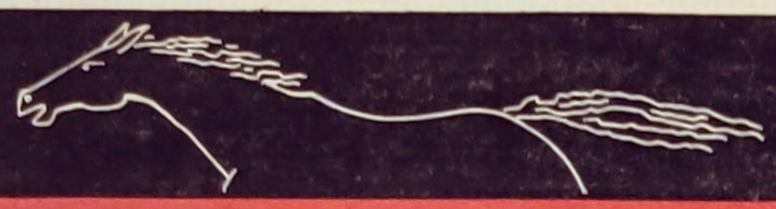

GWIAZDOZBIÓR

JAMES STEWART jeden z tych, którzy uczłowieczyli western – czyli IDEALNY SZERYF

James Maitland Stewart pochodzi ze szkocko-irlandzkiej rodziny drobnych kupców z Pensylwanii. Ukończył architekturę. W trakcie studiów od czasu do czasu występował w studenckim teatrze. A po ich ukończeniu pewnie pracowałby w swoim wyuczonym zawodzie, gdyby nie wpływ uniwersyteckiego kolegi, który namówił go na wstąpienie do aktorskiego zespołu w Nowym Jorku. Stewart pożegnał się z architekturą na dobre. Po kilku latach ściągnęła go do Hollywood wytwórnia „Metro-Goldwyn-Mayer". Działo się to 47 lat temu.

Szczupły, wysoki mężczyzna, zamyślony, a nawet roztargniony, wydawał się idealnym bohaterem dla różnego typu komedii, które rozkwitały w Ameryce po wielkim kryzysie. I rzeczywiście – młody aktor zagrał wiele takich ról znakomicie. Jedna z nich nawet przyniosła mu już przed wojną pierwszego „Oscara" („Historia z Filadelfii" – George Cukora). Po wojnie zaś, którą przesłużył w lotnictwie dochodząc do rangi generała, powtórzył ten sukces również w komedii – „Wspaniałe życie" – Capry.

Najlepszy okazał się jednak w westernach. Ostatnie lata kariery Stewarta są dowodem, że ten gatunek filmowy upodobał on sobie szczególnie, bo po 1950 r. grywał w nich prawie wyłącznie. Już jego młodzieńczy Destry („Destry znowu w siodle" – G. Marshalla – 1939) był zapowiedzią szeryfa idealnego, którego typ wylansował w późniejszych filmach.

Szeryf z Dzikiego Zachodu nie był bynajmniej postacią świetlaną. Bywał łapownikiem, człowiekiem o podwójnej moralności, z pewnością osobą nie uznającą kompromisów, a często i brutalem. James Stewart natomiast w całej swej karierze nigdy nie zagrał postaci negatywnej. Jego Destry nie nosił nawet kolta. Oczywiście strzelać umiał znakomicie, co udowodnił na początku filmu, ale miał tak wielki autorytet, że z tego „argumentu" korzystać nie potrzebował i nie chciał. Cnoty, które lansował Stewart, to prostolinijność, szczerość, skromność, zaufanie do ludzi i galanteria wobec dam.

Do historii kina przeszła jego kreacja szeryfa Toma Jeffordsa w filmie „Złamana strzała". Stawał w nim, po raz pierwszy w historii westernu, zdecydowanie po stronie Indian – groźnych Apaczów walczących z białymi kolonistami. Od tego czasu western zaczął rewidować legendy o białych bohaterach i czerwonych bezmyślnych, krwiożerczych okrutnikach.

Na szeryfie w wydaniu Jamesa Stewarta zawsze można polegać. Nie kieruje się on nigdy pochopnymi emocjami, gwałtu nie uznaje, jest odważny, nieustępliwy, ale przede wszystkim rozsądny. Choć z przekonań jest pacyfistą, potrafi jednak, kiedy trzeba, zbrojnie stawić czoła przeciwnikom. Taki był w westernie „Człowieiek, który zabił Liberty Valance'a" (reż. John Ford 1965 r.) i również w „Firecreek" (1968 r.), filmie, w którym stworzył postać szeryfa wprost wzruszającą. W wiosce Firecreek szeryfem tym był od lat stary farmer, nie różniący się niczym od swoich sąsiadów. Przez całe lata w tym cichym zakątku nie było okazji i powodu do użycia broni. Nadszedł jednak dzień, gdy spokój mieszkańców zakłóciła banda wyjętych spod prawa. Stary szeryf Johny Cobb był w walce z nimi bez szans, a jednak godnie odrzucił proponowany mu przez szefa bandy poniżający rozejm i... mimo że przeżywał moralne rozterki, niepewność i strach – zwyciężył.

Refleksje, uczucie, myśl – to wszystko wniósł Stewart do rozrywkowego westernu. Mówi się, że granym przez siebie postaciom przekazał po prostu dużo z siebie. Jeśli jest to prawdą, nic dziwnego, że jeszcze za życia otaczano go czcią i legendą. **(eb)**

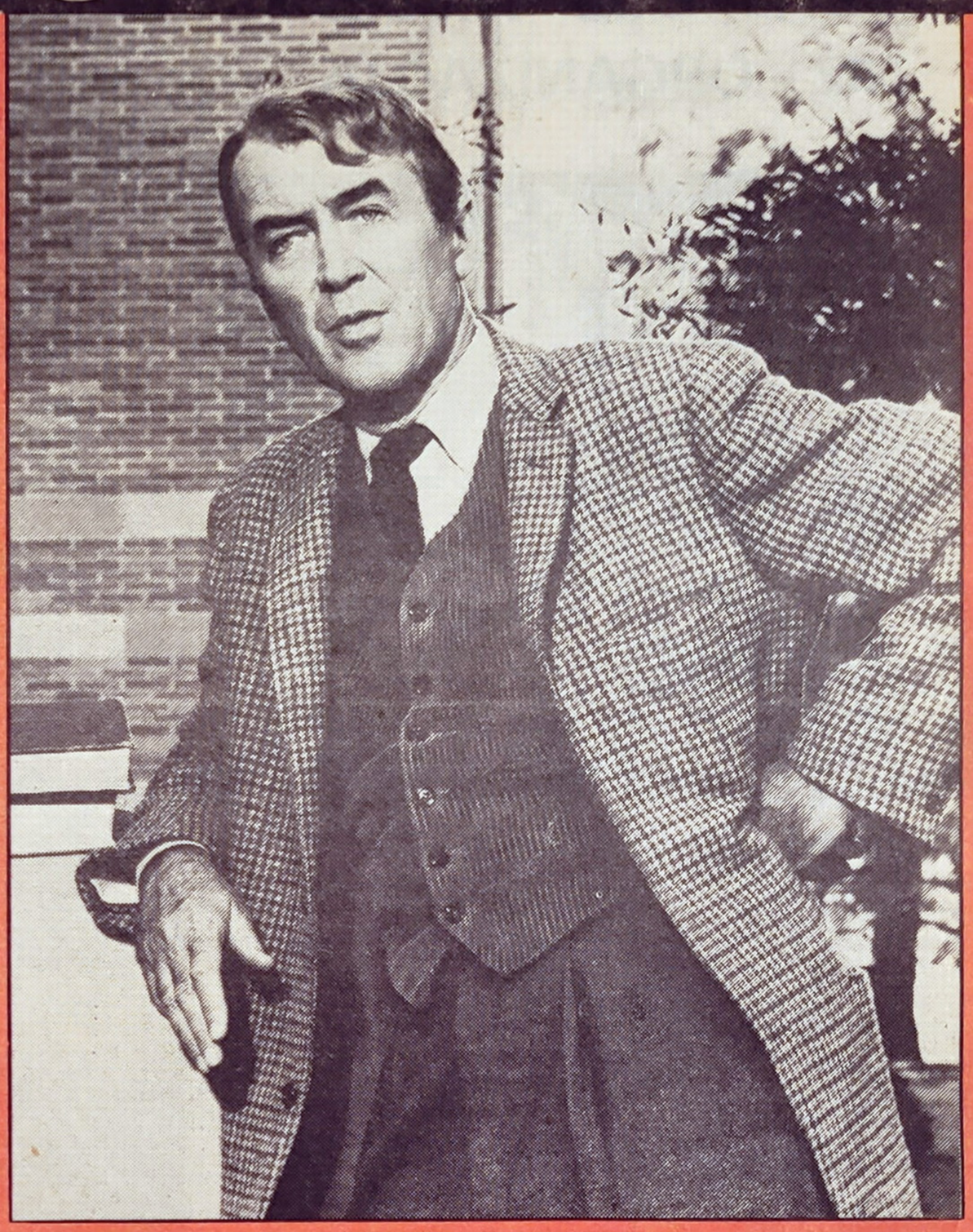

Fot. **archiwum**

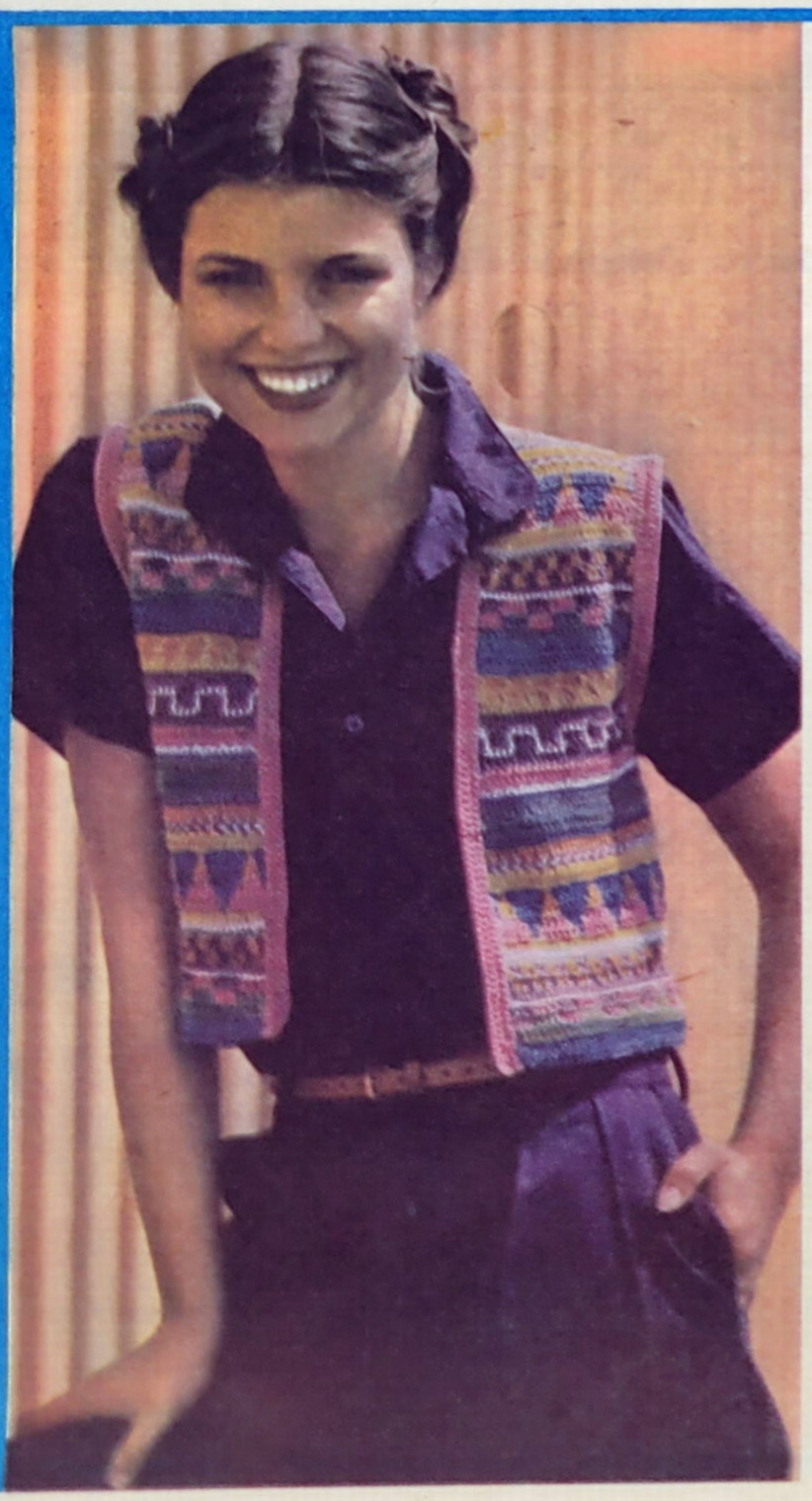

DOM MODY świata młodych

KOLOROWE LATO

Że lato powinno być (w ciuchach, rzecz jasna) kolorowe – prawda to najbardziej oczywista. I nie w tym rzecz, że do tej oczywistości chcę Was przekonywać. Podpowiedzieć bym jedynie chciała niektórym z Was (tym, które szydełkiem lub drutami umieją władać), jak sobie to lato tanim kosztem ukolorowić.

Dziewczyna na zdjęciu prezentuje maleńką kamizelkę-bolerko. Taka kamizelka-bolerko to drobiażdżek ubraniowy, sam w sobie nic niemal nie znaczący, ale dodający uroku innym ciuchom. Zwłaszcza, jeśli jest tak wielobarwny jak ten! Narzucić takie coś na najbardziej burasowatą sukienkę i... zupełnie inna z tego zestawienia wyłania się całość. Choćby tak, jak właśnie ta dziewczyna ze zdjęcia zrobiła: Ma przecież na sobie granatową spódniczkę i taką samą ciemną bluzkę. W sumie – strój na lato nie nadzwyczajny. Ale z kamizelką – zupełnie co innego, nieprawdaż?!

Wspomniałam, że propozycja ta przeznaczona jest niestety wyłącznie dla dziergaczek. I to dziergaczek w tym rzemiośle już co nieco wprawionych, bo łączenie w jednym ciuszku tylu różnych włóczek pewnej wprawy wymaga. Ale za to – można mieć taką kamizelką zupełnie za darmo. Za darmo, bo surowiec na jej wykonanie nic nie kosztuje, nic nie trzeba kupować. Wystarczą najmarniejsze resztki pozostałe po innych robótkach. I to naprawdę najmarniejsze, całkiem mikroskopijne kłębuszki można tutaj wykorzystać. Im więcej różnych kolorów się wykorzysta – tym rzecz cała więcej będzie miała swoistego uroku. A ponieważ w sumie na wykonanie takiej kamizelki potrzeba ok. 10 dag włóczki (może trochę mniej, może trochę więcej – zależy to i od rozmiaru kamizelki, którą się chce wydziergać, i od gatunku surowca, bo są włóczki lżejsze, i cięższe), to jeśliby się chciało mieć 10 różnych kolorów – w jednym kolorze wystarczy mieć 1 dag włóczki. Przeciętnie, bo jednego koloru można użyć więcej, a innego mniej. A jeśli kolorów będzie jeszcze więcej, to... i poszczególne kłębuszki mogą być całkiem tycie.

Sam wzór kamizelki (tej prezentowanej na zdjęciu) wcale nie jest specjalnie wymyślny – jest to kombinacja szerszych i węższych paseczków, kwadracików, rombików, trójkącików... Właściwie nie trzeba sobie takiego wzoru z góry układać tylko... po prostu zacząć dziergać sięgając po kolejne kłębuszki na zasadzie „jak serce dyktuje" i na bieżąco wymyślać, co z nich będzie. Najpierw trzy paseczki, potem rządek kwadracików, potem jeszcze jeden paseczek, ale trochę szerszy od poprzednich, rządek trójkącików itd., itd... Pamiętać trzeba o jednym – żeby po wykorzystaniu jednego kłębuszka do połowy, tę drugą połowę zostawić. Chodzi bowiem o to, żeby przody i tył były identyczne. Więc aby po skończeniu np. pleców (kolejność jest obojętna) móc zrobić odpowiednie przody, trzeba mieć w tym celu zostawione włóczki w odpowiednich kolorach.

I to by było na tyle. No, jeśli ktoś bardzo by chciał sobie taką bajecznie kolorową kamizelkę sprawić, a nie czuje się na siłach dziergać kwadraciki czy inne figury geometryczne, to ostatecznie mogą być same paseczki. Bardzo różne w kolorach i różne w szerokości też. Np. jeden rządek zielonego, dwa rządki żółtego, cztery rządki czerwonego, jeden rządek różowego, jeden rządek białego, trzy rządki czarnego, jeden rządek brązowego, dwa rządki fioletowego itd., itp.

Taka pasiasta kamizelka, choć różnić się będzie nieco od tej na zdjęciu, też będzie wyglądała bardzo efektownie. Grunt, żeby była bardzo kolorowa, bajecznie wręcz. No i żeby była wydziergana. Bo wszelkie dziergadełka są modne nie tylko w zimie, ale również w lecie. W związku z tym za tydzień zaprezentuję Wam różne letnie sweterki.

RIUSZKA

Opodatkowany czas

Historia nie zdradziła do tej pory nazwiska człowieka, który wynalazł zegar ścienny. Wiadomo jednak, że zegary ścienne zaczęły być bardzo popularne w 1797 roku, kiedy to angielski rząd wprowadził podatek od zegarków kieszonkowych w wysokości 5 szylingów. Jeśli zegarek był złoty, płaciło się 10 szylingów. **(jz)**

Kuchenki gazowe z... budzikami

PAP. W Radomskiej Fabryce Wyrobów Metalowych „Polmetal" trwają prace nad nowymi modelami kuchni elektrycznych i gazowych, które mają być sprzedawane w kraju i za granicą.

Jeszcze w tym roku 4-palnikowa kuchnia gazowa z piekarnikiem, o którego właściwej temperaturze sygnalizować będzie użytkownikowi wmontowany tam... budzik – trafi do naszych sklepów. **(kl)**

Niezwykłe zawody

Każdej wiosny i jesieni dziewczęta z miasta Bajan – Hongor w Mongolii ścigają się na wielbłądach. Chłopcy i mężczyźni mogą jedynie obserwować zawody, ale nie mogą brać w nich udziału. Trasa wyścigu wynosi 15 km. Wiek zawodniczek waha się od 17 do 20 lat. Ich waga nie może przekraczać 60 kg. **(jz)**

Cukier w cysternach

W Czechosłowacji na drogach i liniach kolejowych bardzo często zobaczyć można cysterny z napisem „Ciekły cukier". Przy produkcji wielu artykułów spożywczych potrzebny jest cukier rozpuszczony. Przedtem w cukrowniach cukier poddawany jest procesowi krystalizacji z roztworu. Czechosłowacy wpadli więc na pomysł, aby pewnej części cukru w ogóle nie poddawać krystalizacji i rozwozić w postaci płynnej prosto do zakładów spożywczych. **(jz)**

Gigantyczne kopiowanie

WŁOCHY (PAP). Wszystkie najważniejsze dzieła znajdujące się w bibliotece watykańskiej, a jest tam 800 tys. tomów, oraz drogocenne stare rękopisy w ilości 60 tys. egzemplarzy, które nigdy nie mogą opuścić Watykanu, zostaną skopiowane. W „Wiecznym Mieście" zorganizowano wielkie studio dla wykonywania reprodukcji tych skarbów kultury. Aby wykonać wszystkie niezbędne prace, trzeba będzie im poświęcić całe 20 lat. **(kl)**

- **PIERWSZY FRANCUZ W KOSMOSIE**
- **CZWARTY LOT „COLUMBII" Z MISJĄ WOJSKOWĄ**

Wieczorem 24 czerwca br. z kosmodromu Bajkonur wystartowała na pokładzie statku „Sojuz T-6" radziecko-francuska załoga w składzie: Władimir Dżanibekow, Aleksander Iwanczenkow i kosmonauta francuski Jean-Loup Chretien. W nocy z 25 na 26, po połączeniu się statku ze stacją orbitalną „Salut-7", rozpoczął się właściwy program badań, który według planu trwać ma łącznie tydzień.

Radziecko-francuski lot w kosmos jest ukoronowaniem wieloletniej współpracy naukowców obu krajów w badaniach przestrzeni pozaziemskiej. Obejmowała ona m. in. wspólne obserwacje astronomiczne, wysyłania francuskich sztucznych satelitów przy pomocy radzieckich rakiet nośnych, ekspediowanie w kosmos francuskiej aparatury badawczej na radzieckich obiektach kosmicznych itp. Również we wspólnym załogowym locie bierze udział aparatura francuska. Niezależnie od efektów naukowych jakie przyniesie ta wyprawa, ma ona ogromne znaczenie polityczne. W sytuacji obecnych napięć międzynarodowych, a przede wszystkim amerykańskich prób ograniczania współpracy Wschodu i Zachodu, radziecko-francuska wyprawa wskazuje, że przy dobrych chęciach taka współpraca jest możliwa i korzystna dla obu stron.

W kilka dni po „Sojuzie T-6", a dokładnie 27 czerwca br. z przylądka Cenaveral na Florydzie wystartował w kosmos amerykański prom kosmiczny „Columbia". Był to już czwarty i zarazem ostatni lot doświadczalny promu. Na pokładzie „Columbii" znaleźli się dwaj astronauci: Tomas Mattingly i Henry Hartsfield. Tak się więc złożyło, że na przełomie czerwca i lipca br. w kosmosie przebywało 7 kosmonautów. Wymienionych wyżej dwóch amerykańskich, jeden francuski oraz czterech radzieckich (poza załogą „Sojuza T-6" , na pokładzie zespołu orbitalnego znajdują się jeszcze dwaj kosmonauci: Anatolij Bieriezowoj i Walentin Liebiediew).

W obecnym locie „Columbii", na zlecenie Pentagonu wahadłowiec wiezie po raz pierwszy supertajny sprzęt wojskowy. Niewątpliwie z tej racji NASA ustaliła trajektorię lotu promu tak, aby ani razu statek nie przeleciał nad terytorium Związku Radzieckiego, „Columbia" wyląduje 4 lipca w bazie lotniczej Edwards w Kalifornii. Warto jeszcze dodać, że na zaplanowanych do września 1987 roku 70 lotów wahadłowców, 25 będzie miało charakter czysto wojskowy. Nie jest to pocieszająca informacja, wskazuje bowiem niedwuznacznie, że rozpoczęła się już era militaryzacji kosmosu.

Prezes

Na zdjęciu od lewej: pierwszy kosmonauta francuski Jean-Loup Chretien, Władimir Dżanibekow i Aleksander Iwanczenkow Fot. CAF-TASS

PODBÓJ KOSMOSU CZY WYŚCIG ZBROJEŃ

Fascynujemy się rozwojem astronautyki. Z zaciekawieniem wysłuchujemy komunikatów dotyczących kosmonautyki. Każdą informację o wystrzeleniu sputnika czy rakiety załogowej przyjmujemy z entuzjazmem. Rzadko jednak ktoś z nas pomyśli z czym to się wiąże, z jakimi niebezpieczeństwami ze strony paktów i organizacji militarnych. Wyścig zbrojeń na Ziemi osiąga powoli szczyt i tym samym zbliżamy się do krawędzi przepaści, która znajduje się właśnie na szczycie. Jakby jednak mało było decydentom USA, RFN, Japonii, ChRL zaśmiecania powierzchni Ziemi pociskami i rakietami niekonwencjonalnymi, starają się oni zaśmiecić również kosmos. Spośród tysięcy krążących wysoko nad naszymi głowami sputników, blisko połowa to obiekty wojskowe, o różnorodnym przeznaczeniu, od łączności począwszy a na szpiegostwie kończąc. Dzięki sztucznym satelitom siły zbrojne wiedzą o sobie wszystko. Siły zbrojne USA znają pozycje i posunięcia sił zbrojnych ZSRR i odwrotnie. Dzięki satelitarnym szpiegom władze tych państw znają nawzajem rozmieszczenie najmniejszych nawet obiektów wojskowych przeciwnika.

Do wielu „śmieci" krążących już po orbicie okołoziemskiej dołączy wkrótce broń laserowa bowiem prace nad nią dobiegają końca. Umieszczenie broni laserowej na orbicie okołoziemskiej spowoduje, że możliwe będzie zniszczenie każdego obiektu znajdującego się na Ziemi lub unoszącego się ponad nią. Niezbyt obiecujące dla pokoju i rozbrojenia są również plany wmieszania w działania zbrojeniowe nowych obiektów kosmicznych – wahadłowców. Już w swym pierwszym locie wahadłowiec „Columbia" wyniósł na orbitę sztucznego satelitę wojskowego dla PENTAGONU. To właśnie wahadłowce mają wynieść na orbitę broń laserową. Tak więc mamy przed sobą niezbyt obiecujące perspektywy, zwłaszcza, że prowadzone są już doświadczenia z rakietami typu Ziemia–Kosmos, które będą miały na celu niszczenie satelitów przeciwnika. Nawet sztuczne satelity są wyposażone w rakietki przeznaczone do tego celu. Tak więc jeśli tam, na górze, zacznie się ostre strzelanie to na nasze głowy zaczną spadać tony złomu – z kosmosu!

Mariusz Pączkowski (lat 15)
ul. Broniewskiego 32/72
87-800 Włocławek
czł. KMS-F „SPACE" i PTMA

ŚWIATŁO SPRZED 10 MILIARDÓW LAT

Światło sprzed 10 miliardów lat zarejestrowali astronomowie amerykańscy w obserwatorium Kitt Peak w Arizonie. Jego źródłem jest galaktyka określona jako 3C13, znajdująca się w gwiazdozbiorze Andromedy. Galaktykę tę zlokalizowano początkowo tylko za pomocą radioteleskopu (jej światło jest ok. 1 miliona razy słabsze od progu czułości nieuzbrojonego oka) w wyniku późniejszych obserwacji udało się ją jednak sfotografować. Na wyretuszowanym przez komputer zdjęciu ma ona postać 5 plam, z których największa znajduje się pośrodku, pozostałe zaś układają się w kształt rozciągniętej i odwróconej litery „S".

Dotychczas astronomowie byli w stanie obserwować źródła świetlne odległe o nie więcej, jak o 8 mld lat świetlnych. Nowo dokonane odkrycie rozszerza znane granice wszechświata i – jak twierdzą astrofizycy – potwierdza teorię o jego powstaniu w wyniku „wielkiej eksplozji", jaka dokonała się ok. 18 mld lat temu. W myśl tej teorii, gwiazdy i galaktyki utworzyły się z gazów rozrzuconych ową gigantyczną eksplozją w ciągu „zaledwie" około 2 mld lat i dotychczas oddalają się od siebie.

Odkrycie galaktyki 3C13 i zmierzenie wielkości przesunięcia widma jej światła ku czerwieni (efekt powodowany jej oddalaniem się) pozwala uczonym wejrzeć w naturę wszechświata takiego, jakim był o ponad połowę młodszy, niż obecnie.

Jak twierdzą autorzy odkrycia opisanego w piśmie „Astrophysical Journal" przez prof. Hyrona Spinrada z Wydziału Astronomii berkelejskiego oddziału Uniwersytetu Kalifornijskiego, światło sprzed 10 mld lat jest „zaskakująco normalne". Może to znaczyć, że gwiazdy w nowo odkrytej galaktyce niewiele różnią się od Słońca i innych gwiazd w naszej „rodzimej" Galaktyce, jaką jest Droga Mleczna.

NIC NIE STOI W MIEJSCU

Chciałabym poruszyć temat ruchu w kosmosie. Ziemia obraca się dookoła swej osi z szybkością około 1700 km na godzinę (na równiku). Nie ma jednak obawy, abyśmy z niej spadali. A to na skutek siły powszechnego ciążenia. Ziemia przyciąga nas tak silnie, że nie możemy się od niej oderwać. Ziemia krąży wokół Słońca w wyniku czego następują pory roku. Ale ten drugi ruch naszej Ziemi jest już znacznie szybszy. Ziemia biegnie z ogromną szybkością 30 kilometrów na sekundę. Gdybyśmy mogli poruszać się z taką szybkością, to odległość od jednego krańca Polski do drugiego, przebylibyśmy w ciągu pół minuty.

Ziemia obraca się nie tylko wokół swej osi i biegnie dookoła Słońca. Słońce bowiem również nie jest w spoczynku. Przede wszystkim pędzi z podobnie wielką szybkością, bo 20 km na skundę. Przesuwa się ciągle w kierunku prostym w stronę gwiazd z gwiazdozbioru Herkulesa, położonego w północnej stronie nieba. A z sobą unosi przecież i całą swą rodzinę – a więc ze Słońcem mknie nasza Ziemia. Zresztą nie tylko Słońce tak pędzi. Wszystkie inne gwiazdy podobnie znajdują się w ustawicznym ruchu. Jedne oddalają się od nas, inne zbliżają. A dlaczego w takim razie widzimy gwiazdy ciągle w tych samych miejscach na niebie? Dlatego, że życie nasze jest krótkie i nie możemy dostrzec ruchu gwiazd. Gdybyśmy mogli żyć 80 czy 100 tysięcy lat, dopiero wówczas zauważylibyśmy, że jednak gwiazdy przesuwają się na niebie. Gwiazdy znajdują się przecież tak daleko, że trzeba setek i tysięcy lat, aby dostrzec ich ruch. Gwiazdy skupiają się w ogromne zbiorowiska, zwane galaktykami. Nie tylko wszystkie gwiazdy w galaktyce są w ruchu, ale i cała galaktyka obraca się dookoła. Wraz z naszą galaktyką wiruje więc i Słońce z szybkością około 280 km na sekundę oraz wirują wszystkie planety i Ziemia.

Iwona Golonka
ul. Karola Lipińskiego 10
80-284 Gdańsk-Wrzeszcz

P.S. Chętnie nawiążę korespondencje.

Kiwnęła głową. Po chwili dodała jeszcze.

– No więc, jeśli to jest przebranie, to ja naprawdę mogę wziąć ten list. Jeśli pan się musiał przebrać, to list jest na pewno do mnie.

– Dlaczego?

– Innym dostarcza listonosz. Tylko do mnie – powiedziała moja siostra – trzeba się przebierać. Tak już jest. Chociaż nie wiem, dlaczego.

– Jesteś mała – przypomniał Rybak.

– To nie to – zaprzeczyła. – To po prostu dorośli zazdroszczą, jak ktoś dostaje listy. Ale to na pewno do mnie.

– Jestem pewien – oznajmił Rybak – że ty to ty.

– Ja też tak przypuszczam – przytaknęła. – Niech pan już idzie, bo jak pan zostanie, to się to może wydać – rozejrzała się – podejrzane. Niech pan przyjdzie jutro, ale koniecznie z wędkami. Na znak, że pan to pan. Może ktoś się przebrać, bądź co bądź. A z wędkami to nie. Niech pan idzie. Pan gdzieś pracuje? Praca, jak mówi mój brat, nie zając, ale może zaśmiardnąć.

Rybak podniósł się powoli, nie spuszczając z dziewczynki oczu. Marzył o swoim gabinecie. Ruszył w stronę miasta.

– Wędki – krzyknęła. – I niech pan jutro lepiej łowi nad zalewem, a nie w powietrzu...

Nagle pisnęła: – Zalew! Więc do jutra.

Rybak schwycił wędki i zaczął uciekać. Coś się działo, jak mówił chłopiec, ale to na pewno nie było jeszcze to. Ponadto trochę się przeląkł mojej siostry. Smarkula, i kiedy nagle dogoniła go i zabiegła drogę, już blisko pierwszych bloków, obronnie przycisnął ręce do piersi. Ale Smarkul wyciągnął tylko dłoń z dyndającym na niej sznurowadłem.

– To pana sznurowadło? Na pewno. Z prawego buta. Chciałabym umieć – westchnął Smarkul – sznurować buty na odległość. Bo sznurowane buty to pan ma w domu, nie?

Wieczorem Rybak, zaproszony na rodzinne święto, musiał przebrać się w garnitur, i sięgnął po niedawno kupione trzewiki. W prawym sznurowadła nie było. Znalazł je w kieszeni spodni, które nosił rano.

6.

Moja siostra, ubrana w stare dżinsy i trykotową, żółtą koszulkę, przechodząc rano przez kładkę łączącą dwie części osiedla, nad torami kolejowymi, zatrzymała się na kilka minut obok wału ograniczającego zalew, by z przyzwyczajenia oddać się spowszedniałej już nieco przyjemności poplucia na stojące poniżej wagony pociągu towarowego. Wyciągnąwszy z całych sił szyję zdołała oprzeć podbródek na wysokiej poręczy kładki i starannie opryskiwała śliną koniec długiego, nieruchomego składu.

Rybak stał na wale i patrzył w wodę. Ryb na pewno nie było, ale trzymał w ręku pokrowiec z wędkami. Wychodząc z biura mruknął, że idzie sprawdzać stan umocnień – nigdy nie należy do końca zawierzać strażnikom – woda teraz wysoka, ostatnie deszcze spływały wraz z rzeką, dziś czy jutro nadejdzie kulminacyjna fala, jej część przyjmował właśnie zalew.

Zalew był tak gładki, że odbicia domów w wodzie wydawały się wyraźniejsze od rzeczywistego osiedla. Rybak pochylił się – woda była blisko, nie schodząc mógł jej dotknąć czubkiem buta. Wydało mu się, że coś słyszy, ale w tej chwili wysoki gwizd lokomotywy pokrył wszystkie inne odgłosy. Wyprostował się i przygotował do czekania, nie widział jeszcze Smarkula, choć jedenasta już minęła.

Smarkul zatrzymał się dokładnie nad Rybakiem. Ręce Smarkula wsunęły się w kieszenie spodni i z wysiłku, a może dla utrzymania równowagi, zacisnęły w pięści. W prawej znalazł się kawałek jeszcze zupełnie dobrej gumy do żucia, do lewej nieprzyjemnie przylgnęła wymięta kartka papieru, ale serce Smarkula zabiło szybciej – to był ten list, o którym moja siostra myślała przez cały poprzedni dzień, list zawierający i wskazówki, i niejasną obietnicę. Pociąg drgnął, ostatni wagon wysunął się łagodnie z cienia rzucanego przez kładkę i pożegnalnie sczerwieniawszy w jaskrawym słońcu, nabierając szybkości, zaczął się skrywać za ścianami baraków.

Moja siostra odwróciła się i teraz leżał pod nią zbiornik wody kryjąc swą tajemnicę. Bo coś w nim było na pewno. Ta pusta, chroniona tafla była wymarzoną kryjówką. Gdzieś pośrodku, na głębokości kilku metrów coś leży, coś tak ważnego, że strażnik odpędza od brzegu, chwyta za uszy bawiące się dzieci, a ostrzegawcze tablice zabraniają kąpieli.

Cdn.

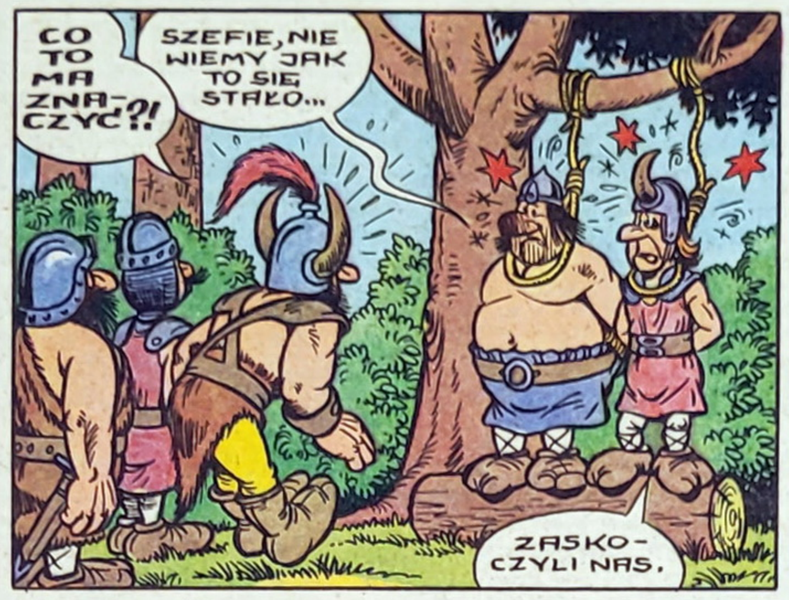

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.), Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji)
TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13
TELEX 81-36-58.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne
Sebastian Paszczenko

Opracowanie techniczne
Bogumiła Szczupakowska

Nakł. 395 000
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 2918/G. Z-45

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UŚMIECH NUMERU

WOJTEK, POKAZUJĄC mamie swoje świadectwo:
– Tylko pamiętaj, mamusiu, że lekarz zabronił Ci się denerwować!

*

– TATO, DLACZEGO podarowałeś mi skrzypce bez strun?
– Na twoje granie to i tak wystarczy...

ROZWIĄZANIE ZAGADKI LITERACKIEJ

Małe oratorium „Kolczyki Izoldy" („W oberży i z oberży pod ogniem, wodą i miedzianymi trąbami") czyli Konstanty Ildefons Gałczyński.

Po kładce znów ktoś biegł.

Rybak odchylił się w tył i długim szczupakiem usiłował nakryć kartkę, którą wiatr przesunął nieco dalej, a wtedy mała dziewczynka zatrzymała się nad nim i oglądała go poważnie, lekko wytrzeszczając zachwycone oczy. Nie wiedział, do kogo była podobna. Leżał, wyciągnąwszy ręce, prawie dotykając kartki, i usiłował sobie przypomnieć. Miała jasne włosy i zielone oczy, bordowe, poplamione i wytarte spodnie ciasno opinały jej nogi. Dziewczynka, pomyślał, ale po chwili stracił pewność. Chłopiec? Też nie. Nie poruszał się, a nad nim stało coś, co wytrzeszczało oczy.

– Dzień dobry – powiedział ciągle leżąc na asflacie, a to coś, co stało nad nim, wykonało ruch, który mógłby być dygiem, gdyby dygi wykonywano w spodniach.

– Weź – wychrypiał Rybak i poczuł, jak koszula przylepia mu się do pleców... – To twoje.

Dziewczynka – to była moja siostra, oczywiście – znieruchomiała, jej oczy na chwilę skryły się pod powiekami, widział to wykręcając głowę aż do bólu w karku, a potem pochyliła się nad nim z zatroskaną twarzą.

– Czy panu niedobrze? – spytała dźwięcznym, słodkim głosem.

– Świetnie – zaprzeczył. – To jest list do ciebie.

Dziewczynka pytająco dotknęła kartki czubkiem stopy.

– Tak. To – potwierdził Rybak.

– Czy pan mógłby usiąść? – zaproponowała moja siostra. – Niedobrze pana widzę.

Usiadł. Przez chwilę przypatrywała mu się, a potem skinęła głową.

– W porządku – oznajmiła i podniosła kartkę, przeczytała ją szybko, jeszcze raz spojrzała na Rybaka i z westchnieniem włożyła list do kieszeni spodni.

– No cóż, w porządku – powiedziała. – Dziękuję.

Teraz dojrzała wędki i przez długą chwilę badała je zaciekawionym spojrzeniem.

– Chciałby pan, żeby tam były ryby? – spytała wreszcie. – Akurat to się da zrobić. Ryby latające to nic trudnego, o ile wiem. Czytałam. Jest między jedenastą i dwunastą – uśmiechnęła się – więc najlepsza pora. Na chcenie.

– Nie – wrzasnął Rybak. – Nie dziś. Muszę wracać do pracy. Nie znoszę ryb.

– Szkoda – powiedziała – bo nic innego chwilowo mi nie przychodziło do głowy. Nic takiego, co bym chciała.

– Nie szkodzi – rzucił Rybak pospiesznie tonem, który zdradzał, że zdecydowanie woli, by się nic nie stało. – Jutro też tu będę – dodał jednak. – I pojutrze – zakończył gasnącym szeptem.

– Do jutra coś wymyślę – obiecała moja siostra i błysnęła zębami w uśmiechu.

Rybak potrząsnął głową. Nie zależało mu akurat w tej chwili, by ona coś wymyśliła. Z czułością pomyślał o swojej pracy i o swoim pokoju.

– Ale pan pracuje w rybołówstwie? – zainteresowała się dziewczynka. – Jakieś nowe metody? Te wędki...

– To kamuflaż – powiedział Rybak i wreszcie poczuł się wspólnikiem dziewczynki. – Sama rozumiesz, że musiałem ci to dostarczyć niepostrzeżenie. Dlatego łowię ryby.

– Rozumiem – zgodziła się. – Przebranie. To dobrze, że pan się przebrał, bo już myślałam, że pan naprawdę łowi ryby w powietrzu, a to jest w naszych szerokościach geograficznych – zaczerpnęła tchu i starannie przesylabizowała – mało prawdopodobne. U nas to raczej w mętnej wodzie – dodała. – Tata tak mówi.

Dokończenie na str. 7